



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



WIOSNA 2024 (39)
KRAKÓW



Dwadzieścia „zielonych” srebrników

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy!

Od wielu lat jesteśmy nieustannie atakowani przez grupy określające się jako „ekologiczne”, których to głównym celem jest likwidacja łowiectwa w naszym kraju. Lobbyści ci, niemogący tego osiągnąć, rzec by można za jednym zamachem, próbują osiągnąć swój - jak to obłudnie określają w licznych przekazach - „zacny cel” - na tzw. raty. Grupy te szczególnie uaktywniają się po zmianie władzy, o czym mogliśmy się już wielokrotnie przekonać. Ostatnie wybory parlamentarne też przyniosły powiew, a właściwie huragan ich aktywności nacechowany - dla przeciętnego Kowalskiego - na pierwszy rzut oka troską o zasoby przyrody. Dzięki konsekwentnie prowadzonej kampanii społecznej, opartej w głównej mierze na wywoływaniu negatywnych emocji u odbiorcy, nasi przeciwnicy zyskują kolejnych zwolenników, a zależy im głównie na tych niezdecydowanych. Wmawiając statystycznemu obywatelowi, że nasza pasja to archaizm, polegający na niszczeniu zasobów przyrody, skłaniają swych „nowych” zwolenników do wysuwania jedyne i słusznego ich zdaniem wniosku, że nie należy gospodarować zasobami przyrody. Swój cel starają się osiągnąć podając fałszywe informacje lub tzw. półprawdę. Co chwilę wymyślają nowe „fałszywe kroczki”, a ostatnio wśród ich dwudziestu postulatów znalazł się ten dotyczący „weryfikacji okresów polowań na zwierzęta łowne i wprowadzenie okresów ochronnych w czasie godów (jelenie i sarny), czy prowadzenia potomstwa (dziki)”. O ile z tym ostatnim postulatem w pełni, jako myśliwi, się zgadzamy i od lat sugerujemy, aby przywrócić czas ochronny dla loch, który jeszcze przed kilkoma laty obejmował okres od 15 stycznia do 15 sierpnia, to resztę należy określić jako absurdalne, a ich uzasadnienie kłamliwym i wysanym, rzecz by można, z zielonego palca. W „malachitowym” uzasadnieniu czytamy: „Polowania w okresie godowym są skrajnie niehumanitarne, nieetyczne i sprzeczne z ustawą o ochronie przyrody. Np. polowania na jelenie w czasie rykowiska odbywają się zazwyczaj w ramach polowań komercyjnych, dewizowych i jedynie dla trofeów, na wielu cennych przyrodniczo terenach Polski. Ofiarami takich polowań są najsilniejsze osobniki z najlepszymi genami, a same gody są istotnie zakłócone, co przekłada się na sukces reprodukcyjny i kondycję lokalnych populacji. Często polowania takie organizowane są w otulinach parków narodowych oraz przy granicach z rezerwatami przyrody. Od lat społeczeństwo protestuje przeciw tego typu praktykom - ponawiane są petycje i organizowane liczne akcje społeczne.

W przypadku dzików nie ma żadnych okresów ochronnych i zabija się także lochy prowadzące młode, co skutkuje okrutną śmiercią warchlaków z głodu czy zimna”. Odniosę się tylko do trzech kwestii poruszanych powyżej, bo na temat protestu społeczeństwa trudno mi się wypowiadać, nie wiem bowiem o jak licznej grupie mowa i co należy rozumieć pod pojęciem „liczne akcje społeczne”.

Przeszukałem ustawę o ochronie przyrody i nie znalazłem zapisu jakoby polowanie w okresie godowym było zabronione. Oczywiście w art. 117 mowa o stworzeniu warunków do rozmnażania i rozprzestrzeniania roślin, zwierząt i grzybów oraz zapewnienia ochrony i odtwarzania ich siedlisk i ostoi, a także ochronie tras migracyjnych zwierząt, ale chodzi o „gatunki zagrożone wyginięciem”, do których jeleni oraz sarna nie należą. Tych dwóch wyrazów - „zagrożone wyginięciem” - celowo przeciwnicy polowań nie doczytali, aby przeciętnemu obywatelowi zasugerować, że myśliwi polujący w okresie godowym łamią prawo. Po drugie - zdaniem naszych przeciwników - wynikiem zakłócania jelenich godów (zapewne innych gatunków również) jest ich mniejszy sukces rozrodczy i spadek kondycji lokalnych populacji. Jak można było wysnuć takie wnioski, skoro choćby w ostatnim półwieczu (w oparciu o dane GUS) odnotowaliśmy trzykrotny wzrost liczebności saren i ponad sześciokrotny w przypadku jeleni. Z kolei, jeżeli chodzi o ich kondycję, to liczne monitoringi jakości osobniczej jeleniowatych prowadzone w naszym kraju - co potwierdza bogata, ogólnodostępna literatura - wskazują, że nasze sarny, jelenie, daniela itp. są wyraźnie rośljejsze niż przed laty pomimo tego, że polujemy na nie w okresie godowym. Najbardziej irytujący jest jednak kłam zadany pod koniec uzasadnienia sugerujący, że skoro nie ma okresu ochronnego na dziki to myśliwi celowo zabijają lochy prowadzące młode.

Z kolejnymi punktami petycji rozprawię się w następnym numerze naszego czasopisma.

Wasz Redaktor Naczelny



dr hab. inż. Marek Wajdzik,
prof. URK
leśnik, pracownik naukowy
Uniwersytetu Rolniczego
w Krakowie, wykładowca
Gospodarki łowieckiej

WIŚLAŃSKIE GŁUSZCE

ZENON RZONCA



W bieżącym roku upływa trzecia dekada od kiedy głuszcę przestał być gatunkiem łownym w Polsce. Dziś możemy stwierdzić, że samo wpisanie głuszców na listę gatunków chronionych nie przyczyniło się do wzrostu liczebności w żadnej z istniejących ostoi tego gatunku, jednocześnie w tym czasie całkowicie wyginęły one w Sudetach i na Pomorzu.

Obecnie głuszce w Polsce występują w czterech odizolowanych populacjach, a są to: Karpaty Zachodnie, gdzie ich ilość jest szacowana na 265-325 osobników, Puszcza Solska z ilością szacowaną na 165-210 osobników, Puszcza Augustowska 32 osobniki oraz Bory Dolnośląskie, gdzie przez Nadleśnictwo Ruzów realizowany jest program

reintrodukcji i liczebność głuszców jest szacowana na 40-50 osobników.

W okresie międzywojennym spośród wszystkich nadleśnictw znajdujących się w ówczesnych granicach Polski, jak podaje A. Czudek w książce pt. „Głuszcę w lasach śląskich”, głuszce najliczniej występowały w Nadleśnictwie Wiśla. Natomiast inwentaryzacja prowadzona przez Nadleśnictwo Wiśla w latach 1999-2002 wykazała, że liczebność głuszców tak drastycznie spadła, iż w całym Beskidzie Śląskim, obejmującym obszar leśny ponad 25 000 ha, doliczono się zaledwie 10 osobników. Wtedy zapadła decyzja, by przystąpić do działań, które zapobiegą katastrofie całkowitego wyginięcia tego największego europejskiego kuraka leśnego.

Planowano wspomagać głuszce zarówno poprzez działania na rzecz czynnej ochrony ich biotopów, jak i zasilanie istniejących populacji dodatkowymi ptakami uzyskiwanymi w oparciu o wolierową hodowlę. Zamierzano zwiększyć liczebność głuszców, powiększyć areał ich występowania i zapewnić trwałość funkcjonowania całej populacji głuszców. Ważnym na tym etapie było rozpoznanie miejsc nadających się na ostoje głuszców i ustalenie zakresu prac przysposabiających. Ze względu na specyficzną biologię głuszców wyznaczanie ostoi poszczególnych ptaków napotykało na znaczne trudności praktyczne. Sercem ostoi głuszców w Beskidzie Śląskim stał się obszar zajmujący ponad 3 tys. ha lasów położonych na terenie Nadleśnictwa Wiśla

i Węgierska Górka. Obszar ten rozciągał się na wysokości powyżej 800 m n.p.m., a w jego skład wchodził Rezerwat Barania Góra, gdzie wszelka interwencja gospodarcza była wstrzymana. Należy pamiętać, że typowym biotopem głuszców są lasy borealne, natomiast w Europie Środkowej i Zachodniej głuszce, będące pozostałością okresu zlodowaceń, występują w lasach mieszanych o małym zwarcie, które w przeważającej części tworzone są przez gatunki iglaste takie jak: sosna, świerk, jodła i modrzew, z runem złożonym z borówek i innych gatunków wrzosowatych, przypominające swym wyglądem rozluźnione lasy na północy Europy. Rolą leśnika, gospodarującego w ostojach głuszcowych, jest stałe czuwanie i delikatne korygowanie (w odpowiednich terminach) zwarcia oraz zróżnicowania składu gatunkowego w granicach akceptowalnych zarówno przez głuszce jak i racjonalną gospodarkę leśną. Najważniejszym elementem ochrony głuszców jest tworzenie jak najlepszych warunków do wychowu piskląt. Od tego zależy sukces lęgowy, a co za tym idzie wzrost liczebności głuszców. Obecnie prowadzone w Europie badania naukowe wskazują, że na spadek liczebności głuszców w mniejszej mierze ma wpływ śmiertelność wśród dorosłych ptaków, a w zdecydowanie większej niską przeżywalność piskląt. Istnieją trzy podstawowe czynniki wpływające na przeżywalność piskląt: presja drapieżników, dostępność pokarmu i warunki pogodowe w czerwcu. Z uwagi na dużą ilość opadów w strefach wysokogórskich i niskie temperatury ważne jest, szczególnie w pierwszych tygodniach życia (czerwiec), aby pisklęta na żerowiskach miały możliwość schronienia przed deszczem, a przy okazji również przed drapieżnikami czy człowiekiem. Niestety, zachodzące zmiany w lesie związane z rozpadem drzewostanów świerkowych były przyczyną przemieszczania się głuszców i szukania nowych dogodnych do życia miejsc. Niepokój o dalszy los głuszców budziło zamieranie i przyspieszona wycinka świerczyn w Beskidach. Jak wykazały doświadczenia, dla głuszców równie ważnym jak działanie ochronne jest jak najdłuższe zachowanie nawet bardzo rozrzedzonych starych drzewostanów, a na tokowskich pozostawienie drzew martwych i niepogarszanie biotopów poprzez rutynowe prowadzenie intensywnych prac w lesie. Jedynym rozwiązaniem jest godzenie wymogów gospodarki leśnej z wymaganiami głuszców i przestrzeganie zasad zachowania trwałości lasu w klasycznej postaci, rozumianej jako trwałe utrzymanie zróżnicowanych wysokościowo drzewostanów w ostojach, przy zachowaniu składu drzewostanów w dostosowaniu do siedlisk oraz wymogów i potrzeb

chronionych głuszców. W ramach działań ochronnych powinny być lokalizowane wszystkie tokowiska, gdyż są to szczególnie cenne miejsca, do których ptaki wykazują duże przywiązanie i z reguły tokują w tych samych miejscach rokrocznie. Głuszc kogut często tokuje na tym samym drzewie przez kilka lat z rzędu. Ingerencja ludzka w tych miejscach najczęściej kończy się zanikiem tokowiska. Najczęstszym powodem zmiany tokowiska jest wyrąb drzewostanu, a niekiedy nawet prowadzenie cięć w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Jeśli nastąpi jakieś zakłócenie w okresie godowym koguty natychmiast opuszczają miejsca toków, a jeśli trwa ono dłużej nie powracają na tokowiska już wcale. Dlatego drzewostan na tokowiskach musi być wyłączony z użytkowania. Ponadto w okresie godów (marzec - maj), konieczne jest maksymalne ograniczenie obecności ludzi na tokowiskach. Celem zachowania trwałości tokowiska praktykowano w Wiśle (w XIX i XX wieku, kiedy to obecne lasy nadleśnictwa były własnością Fryderyka Habsburga) delikatne usuwanie na obszarze areny tokowej nadmiaru odnowień naturalnych oraz wycinkę pojedynczych drzew w celu odsłonięcia lub powiększenia are-

ny. Wszystkie zabiegi wykonywano jesienią. Oprócz znajomości lokalizacji najważniejszych dla bytu głuszców miejsc odbywania toków oraz miejsc lęgowych niezwykle istotnymi są terminy wykonywania zabiegów gospodarczych. Generalnie można przyjąć, że skoncentrowane i niezbyt intensywne zabiegi wykonywane po zakończeniu rozrodu - od sierpnia do grudnia - nie będą negatywnie wpływać na populację głuszcza.

W przypadku Beskidu Śląskiego przywracanie głuszcza było możliwe tylko w drodze sztucznej hodowli. Sposób ten należy traktować jako ostateczność w ratowaniu ginącego gatunku. Decyduje o tym wiele biologicznych i technicznych barier koniecznych do pokonania, a także wysokie koszty takiego przedsięwzięcia. Dlatego najpierw musiały być podjęte działania przygotowawcze i ochronne oraz badania. Dopiero w ich wyniku wyłaniała się najbardziej efektywna opcja - hodować i wypuszczać głuszcze, ale w taki sposób, by związały się z terenem.

Analizy programów restytucji głuszców zrealizowanych w Europie na przestrzeni XX wieku wykazały jednak niską efektywność dotychczas-



wych działań w większości krajów, za wyjątkiem Szkocji, co zmotywowało nas do poszukiwania nowych rozwiązań hodowlanych. Ponieważ w większości hodowli dostarczających głuszców do realizacji programów ochrony dominowała sztuczna inkubacja jaj (z wykorzystaniem inkubatorów lub nasiadek kury domowej), przyczyn niepowodzeń upatrywano zarówno w technice inkubacji jaj, jak i w sposobie odchowu piskląt wykorzystywanych do restytucji. Mając to na uwadze, przy opracowywaniu wiślańskich założeń restytucyjnych przyjęto, że młode głuszcze będą wylęgane i odchowywane w wolierach przez matki. Założono wówczas, że corocznie niezbędne będzie uzyskiwanie tym sposobem 30 - 60 młodych ptaków. Po wybudowaniu pierwszych obiektów i rozpoczęciu w 2002 roku hodowli okazało się, że do osiągnięcia takich założeń konieczne jest wprowadzenie zmian w dotychczas wykorzystywanych wolierach, jak i wypracowanie nowych rozwiązań technicznych oraz wybudowanie dodatkowych obiektów. Wybór typu wolier do utrzymywania podstawowego stada rozrodczego i odchowu młodych było pierwszym z doświadczeń, które uwidoczniło, że przy pro-

jektowaniu niezbędne jest uwzględnianie lokalnych warunków (klimatycznych, siedliskowych, sąsiedzkich itp.) oraz szersze uwzględnienie specyficznych uwarunkowań behawioralnych głuszców. Również wielkość wolier, a także liczba bytujących w nich ptaków stada rodzicielskiego mają wpływ na efektywność odchowu. Nawet terminy udostępnienia wybiegów dla samic zakładających gniazda czy rodzaj dachu na wolierze mogą wpływać na liczbę i późniejszą przydatność młodych ptaków do celów restytucyjnych.

Od 2006 roku rozpoczęto współpracę Lasów Państwowych i Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, która zaowocowała rozwiązaniami nie stosowanymi wcześniej w hodowli tego gatunku na świecie. W ramach tej współpracy prowadzono badania nad wspomaganym rozrodem głuszców. Opracowano dwie metody pobierania nasienia; uzyskano wartościowe ejakulatory od osobników żyjących na wolności; opracowano metody krótko i długoterminowego przechowywania nasienia; utworzono bank genów w postaci zamrożonego nasienia; uzyskano pisklęta po sztucznej inseminacji zarówno nasieniem świeżym, jak i rozmrożonym. Początkowo zwiększa-



no liczbę jaj uzyskiwanych od jednej samicy poprzez podbieranie jaj z gniazd. Dopiero gdy analizy wykazały, że nie przekłada się to na liczbę odchowanych zdrowych piskląt, zbieranie jaj i lęgi zastępcze (przez nasiadkę lub w inkubatorze) ograniczono do przypadków jaj z porzucenia gniazd. Ponadto opracowano tzw. elektroniczne jaja, czyli rejestratory montowane w skorupie jaja, umieszczane w naturalnych gniazdach celem zapisu temperatury, wilgotności i ruchów jaja w okresie całego procesu znoszenia jaj i ich inkubacji. Uzyskane pomiary z gniazd, w których zarejestrowano najlepsze efekty lęgów, posłużyły do wykonania inkubatora mogącego odtwarzać zarejestrowane parametry. Dodatkowo zbudowany prototyp inkubatora posiada aplikację na telefon mobilny umożliwiającą śledzenie pracy inkubatora z dowolnego miejsca. Badaniom towarzyszyły zmiany koncepcji postępowania hodowlanego. Okazało się, że duże znaczenie dla efektywności lęgów oraz jakości odchovu piskląt mają: lokalizacja i zastosowane rozwiązania techniczne budowanych wolier. Najkorzystniejsze dla tego gatunku okazało się ulokowanie wolier w miejscu, gdzie głąszce występowały w naturze, z daleka od osad ludzkich i gdzie dotychczas nie prowadzono żadnej hodowli drobiu. W skład woliery wchodzi: budynek wykonany z drewna i siatki, podzielony na boksy (o wymiarach 4m x 7m) z podłogą pokrytą warstwą gruboziarnistego piasku wymienianego corocznie, z dachem przepuszczającym promienie słoneczne oraz 6 dużych wybiegów (każdy o wymiarach 8m x 30m) o ścianach wyko-



nanych z siatki stalowej i propylenowej, porośnięty roślinnością preferowaną przez głąszce. W wolierach, gdy na wiosnę ustaną intensywne opady śniegu, samicom otwierane są wyjścia na wszystkie wybiegi w celu umożliwienia im założenia gniazd w warunkach zbliżonych do naturalnych. Koguty w tym czasie tokują pod zadaszoną częścią woliery w odpowiednio urządzonych i monitorowanych oddzielnych boksach. Głąszki mogą wchodzić do nich przez odpowiednie przejścia i pozostawać z wybranym kogutem do woli. Gdy głąszki zasiądą już na stałe w założonych przez siebie gniazdach, koguty przenoszone są do odrębnych zapasowych wolier, gdzie następuje





u ich wymiana upierzenia. Odchowywane w wolierach od 2004 roku głuszce były uwalniane w rejonie Baraniej Góry z wykorzystaniem wolier adaptacyjnych. Początkowo robiliśmy to w październiku i listopadzie, po pełnym wypierzeniu się wszystkich młodych. Obecnie już w lipcu przewożone są (do każdej z wolier adaptacyjnych znajdującej się w naturalnej ostoi) matki z całym stadkiem piskląt wylęgniętych przez każdą z nich w gnieździe, jak również pisklęta adoptowane do stadka rodzinnego, a wylęgnięte w klujniku. W każdej wolierze adaptacyjnej wydzielone jest pomieszczenie dla matki, do którego mogą wchodzić pisklęta przez małe otwory, ale matka z uwagi na swą wielkość nie może go opuścić. Po wspólnym pobycie przez okres 1-2 tygodni w tak urządzonej wolierze adaptacyjnej otwierane są bramki umożliwiające młodym pisklątom wychodzenie z woliery i wyszukiwanie pożywienia na przyległych terenach leśnych, przy równoczesnym pozostawianiu w łączności (głosowej i wzrokowej) z ciągle zamkniętą matką. Teren wokół woliery adaptacyjnej, na który wychodzą pisklęta jest stale

dozorowany. Wymaga on także zabezpieczeń przed drapieżnikami i niepowołanymi osobami. Jesienią młode głuszce, po zajęciu wybranych rewirów, pozostają w ostoi, a matki wracają do woliery hodowlanej. Stwierdzono, że głuszce uwalniane przy obecności matek oblatują 10 krotnie mniejszy teren niż głuszce uwalniane bez matek. Spokojne zachowanie młodych głuszców ma zasadniczy wpływ na ich przeżywalność po uwolnieniu. Od 2010 roku obserwowane są dzikie głuszki z młodymi pisklątami wylęgniętymi już na wolności. Żyjące na wolności głuszki wodzące młode pisklęta, są znakiem, że proces naturalnego przywracania głuszców beskidzkim lasom ma już miejsce, a zasilanie ptakami pochodzącymi z hodowli wyraźnie go wspomogło. W 2002 roku, w momencie podejmowania decyzji o uruchomieniu hodowli wolierowej, na terenie Nadleśnictwa Wisła nie było już czynnych tokowisk. Tokowiska w rejonie Baraniej Góry pojawiły się ponownie w 2005 roku, tj. rok po pierwszych uwolnieniach głuszców wychodowanych w wolierach. Tokowisko na terenie Istebnej pojawiło się

dopiero w 2008 roku, po czteroletnim okresie uwalniania głuszców odchowanych w wolierach. Zaobserwowano wtedy 5 tokujących kogutów w Leśnictwie Beskidek, na terenie, gdzie ostatni raz głuszce tokowały przed 80 laty. Na tokowisku w Beskidku głuszce tokują corocznie, w bieżącym roku był to jednak tylko 1 kogut. Wokół tych tokowisk przez RDOŚ w Katowicach zostały ustanowione strefy ochronne. Obecnie prowadzony monitoring występowania głuszców pokazuje, że głuszce powracają do swych starych ostoi również na terenie nadleśnictw Ustroń, Bielsko i Węgierska Górka. Można też stwierdzić, że przyjęte założenia programu prowadzenia wiślańskiej hodowli głuszców sprawdziły się w praktyce. W okresie od 2002 do 2023 roku w hodowli wylęgło się 1884 piskląt, z których odchowano z nich 1318 młodych głuszców, które w większości wykorzystano na potrzeby restytucji w Beskidzie Śląskim, a także w Beskidzie Sądeckim. Głuszce pochodzenia nizinnego (sprowadzone z Białorusi i Szwecji w postaci jaj) są uwalniane w Borach Dolnośląskich na terenie Nadleśnictwa Ruzów. Ponadto 75 młodych głuszców z wiślańskiej hodowli zasiłowało hodowle w Polsce oraz wzbogaciło pulę genową w hodowlach na terenie Ukrainy, Litwy, Słowacji, Niemiec i Czech. Część uwalnianych głuszców, jak to wykazał monitoring telemetrii satelitarnej, zasiedliła również przygraniczne lasy na terenie Czech i Słowacji.

Dziś nadal głuszce wzbudzają duże zaintere-

sowanie u wielu osób, pomimo że nie są już obiektem polowań. Można je podziwiać w Beskidzie Śląskim zarówno w naturze, jak i w hodowli. W tym celu przybywa do wiślańskiej hodowli wiele znamienitych osób. Wśród gości byli już prezydenci czterech krajów. Dla sympatyków głuszców chcących poznać zwyczaje tych wspaniałych ptaków w 2006 roku uruchomiono specjalną wolierę edukacyjną, w której znajdują się ptaki wyłączone ze stada zarodowego. Wszyscy chętni mogą w niej, po uprzednim umówieniu się, obserwować zarówno żywe głuszce, jak również obejrzeć filmy czy prezentacje multimedialne poszerzające wiedzę przyrodniczą o tych wspaniałych kurakach leśnych. Kilka głuszców „spełnionych w hodowli” Nadleśnictwo Wisła przekazało do ZOO w Chorzowie, gdzie mogą być podziwiane przez zwiedzających.

Wisła dn. 27.04.2024
fot. archiwum autora



Zenon Rzońca
inżynier leśnik, pracownik nadl. Wisła, gdzie opracował i wdrożył unikatową metodę hodowli głuszcza, z przeznaczeniem do introdukcji w warunkach naturalnych



Ryszard Adamus Dwa łabędzie, a właściwie trzy



Łabędź niemy

Łabędź jaki jest każdy widzi ... Tu może nas jednak spotkać niespodzianka. Od ładnych paru już lat mamy w Polsce dwa gatunki gniazdujących łabędzi, a spotkać będącego w przelotach możemy jeszcze trzeci rodzimy gatunek.

Ten, który jest nam dobrze znany, to łabędź niemy. Jak na ptaka latającego jest wyjątkowo duży i rzeczywiście to najcięższy latający ptak wodny. Ma z tego powodu problem ze startem i nie potrafi wzbić się z miejsca w powietrze. Musi mieć rozbieg, a na wodzie nawet dłuższy

niż na lądzie. Nogi krótkie, szeroko rozstawione, palce połączone błoną - z pewnością nie jest dobrym piechurem i łódź nie jest jego żywiołem, ale te wiosła dają mu przyzwoity napęd w wodzie. Zadziwia białe upierzenie i nie jest to z pewnością barwa ochronna. Ten łabędź ma po prostu niewielu wrogów w przyrodzie - ani na wodzie, ani w powietrzu. Wyjątkowo długa szyja zdradza sposób zdobywania pożywienia. O ile żyrafa potrzebuje jej, aby dosięgnąć wysoko rosnących smakołyków, to łabędź odwrotnie - żeruje pod wodą na roślinności w niej zanurzonej,

ale nie tylko. Przykładowo w zbiorniku Jezioro Łabędzie konsekwentnie żerowały na koloniach małży racicznicy zmiennej, zatem nie są one takimi ścisłymi wegetarianami. Gdy długość samej szyi nie wystarcza, wówczas łabędź „splawikuje” zanurzając wraz z szyją przednią część ciała. Dlatego preferuje płytkie akweny lub przynajmniej ich brzegi do 1 metra głębokości. Oczywiście potrafi korzystać nie tylko z roślinności zanurzonej w wodzie. Swego rodzaju ciekawostką jest tzw. polska odmiana łabędzi. Zasadniczo łabędzie pierwsze upierzenie mają

w kolorze szaro-brązowym natomiast te polskie są już wtedy białe. Drugim wyróżnikiem jest kolor nóg - zwykle ciemnych, czarnych, a jaśniejszych, cielistych u łabędzi polskich. Dzieńczenie tej cechy jest dość skomplikowane. Zainteresowani znajdą więcej szczegółów w necie. Polską populację szacuje się na 6000-7500 par. Oczywiście samych łabędzi jest więcej, gdyż nie wszystkie biorą udział w lęgach.

Drugim naszym lęgowym gatunkiem jest łabędź krzykliwy. Jesteśmy świadkami jego ekspansji w Polsce. Pierwsze stwierdzone gniazdowanie to rok 1973, następne 10 lat później. Od początku XXI wieku liczba lęgowych par rośnie jak na razie wykładniczo. O ile w 2007 naliczono ich 53 to już w 2020 było 213 par. To najliczniejszy gatunek łabędzia na świecie. Jego areal lęgowy ciągnie się od Atlantyku do Pacyfiku przez całą północną Euroazję. Populacje w zależności od miejsca, gdzie gniazdują, prowadzą mniej lub bardziej wędrowny tryb życia. Te gniazdujące w tajdze, zimę muszą spędzić w łagodniejszym klimacie, co dla niektórych osobników oznacza migrację nawet na odległość 4000km. Inne, jak choćby te nasze, mogą przeżyć zimę na miejscu. Granicę gniazdowania na północy wyznaczają te szerokości geograficzne, gdzie młode zdążą stać się lotnymi, zanim lód skuje wodę uniemożliwiając żerowanie. To również duże ptaki jak łabędź niemy i stąd ten okres inkubacji jaj i wzrostu piskląt trwa. Na północy szansę na sukces lęgowy bardziej mogą dać duże rzeki, gdyż te zamrażają później, co z reguły wystarcza, aby młode zdążyły odlecieć.

Czy możliwe jest gniazdowanie łabędzi na terenach wysuniętych jeszcze bardziej na północ w strefie tundry? Jest zależność między wielkością ptaka a okresem wysiadywania i dorastania piskląt. Aby w krótszym czasie zdążyć odbyć cykl wysiadywania i dorastania taki ptak powinien być po prostu mniejszy i taki jest właśnie łabędź czarnodzioby. Szybszemu rozwojowi piskląt może sprzyjać większy udział białka zwierzęcego w pokarmie w postaci przeróżnych organizmów wodnych. Na pierwszy rzut oka łabędź czarnodzioby wygląda jak mniejszy łabędź krzykliwy - ale nie tylko o wielkość chodzi. Proporcje jego ciała znajdują się gdzieś pomiędzy łabędziem krzykliwym, a choćby gęsią gęgawą. Różnicę znajdziemy też w ustawieniu dzioba w stosunku do wierzchołka głowy. O ile górna krawędź dzioba u krzykliwego jest jakby przedłużeniem wierzchołka głowy to czarnodzioby ma już delikatnie wystające za dziobem czołko. Dziób w podobnych kolorach jak



Łabędź niemy

u krzykliwego, czyli żółty i czarny, choć koloru czarnego jest na nim więcej i zakrywa on nozdrza. U podgatunku amerykańskiego czarna barwa jeszcze bardziej dominuje na dziobie i żółtego jest bardzo mało. Euroazjatycki podgatunek został nazwany łabędziem małym lub bewikiem i tego właśnie spotykamy w Polsce w okresie zimowania. Te spotkania są jednak rzadsze niż te z łabędziem krzykliwym.

Trochę historii

Biała barwa i spore rozmiary ciała powodują, że łabędzie są łatwo wykrywalne dla ludzi. Pisklęta cechują się stosunkowo długim rokowiem. Krzykliwe lotność uzyskują dopiero

po 3 miesiącach, a nieme nawet jeszcze później. Dorosłe ptaki corocznie się pierzą i przez miesiąc również nie latają. Mogły być więc lokalnie łatwo tępione, zwłaszcza tam, gdzie zagęszczenie ludzi było większe np. w Europie. Dziś wykorzystuje się zresztą ten newralgiczny dla nich okres i wychwytuje się je w celu zaobrączkowania. Z drugiej strony jako ptaki o bardzo atrakcyjnym wyglądzie, a do tego o smacznym mięsie, zwłaszcza młodych osobników, oraz użytecznych piórach były przez wieki obiektem handlu. Sprowadzano go z przeróżnych stron świata. Z pewnością zdarzały się ucieczki ptaków bądź były one celowo wypuszczane na wolność (introdukowane). Nasi przodkowie trochę

inaczej patrzyli na przyrodę, dużo było w tym mistycyzmu. Próby naukowej systematyzacji przyrody to wiek XVII. Z pewnością we wcześniejszych wiekach myłono oba gatunki łabędzi. Ciekawym doświadczeniem jest sprawdzenie odwzorowania łabędzia w sztuce, choćby w motywie *Leda z łabędziem*. O ile artyści potrafili oddać urodę kobiety, to już w przypadku łabędzi wyraźnie mieli pewien kłopot. Prezentowany przez nich ptak nie zawsze przypomina jakikolwiek istniejący gatunek. U Leonarda da Vinci przynajmniej z koloru i budowy dzioba można wnosić, że malował łabędzia krzykliwego.

Który zatem gatunek łabędzia jest naszym rodzimym? Łabędź niemy dawniej gniazdował w strefie lasostepu, stepu i półpustyń w basenie Morza Czarnego i Kaspijskiego, Mongolii i Zachodnich Chin. Europę, z wyjątkiem obszarów basenu Morza Śródziemnego, zamieszkiwał z kolei łabędź krzykliwy. Tak było przynajmniej we wczesnym średniowieczu. Później jego areal występowania ograniczał się stopniowo do północy kontynentu. Mniejsza presja ludzka, jak również mniejsze zmiany w środowisku, dawały mu tam szansę na przetrwanie. Na początku XX wieku gniazdował już tylko w północnej Islandii, Laponii i północno-wschodniej europejskiej części Rosji. Tylko radykalne działania ochronne pozwoliły na przetrwanie tego gatun-

ku w Europie i stopniowy wzrost liczebności. Możemy zatem powiedzieć, że łabędź krzykliwy odzyskuje utracone w przeszłości tereny gniazdowania natomiast łabędź niemy jest, podobnie jak muflon, daniel czy królik, gatunkiem introdukowanym.

Przyszłość

Warto wspomnieć o interakcjach między obu gatunkami. Łabędź krzykliwy jest bardziej terytorialnym i agresywnym gatunkiem. Jeśli w dobrych warunkach żywienia łabędzie nieme utworzą kolonię, a przynajmniej na jednym stawie zagniażdżą dwie lub więcej par, to gdy pojawi się tam para łabędzi krzykliwych z zamiarem założenia gniazda, to łabędzie nieme zostają przepędzone. Nie oznacza to, że w jakiejś przyszłości łabędź niemy wyginie, ale proporcje liczebności między obu gatunkami mogą się zmieniać. Łabędź krzykliwy często buduje gniazda na małych niedostępnych mokradłach. Z kolei niemy potrafi się gnieździć w miejscach blisko człowieka, których krzykliwy unika. Tym niemniej duża część niszy lęgowych u obu gatunków się pokrywa. Wspomnieć jeszcze warto o zdarzających się sporadycznie hybrydyzacjach obu gatunków zakończonych pomyślnym odchowaniem piskląt. Wszystkie opisane gatunki łabędzi w ostatnich latach odkryły

Łabędź krzykliwy



	Łabędź niemy	Łabędź krzykliwy
Wygląd dzioba	Pomarańczowo-czerwony z czarnym guzem u nasady	Czarny na końcu i żółty u nasady
Ulubiony sposób trzymania szyi	Zgięta w kształt litery „S”	Prosta
Sposób układania skrzydeł	Często układa je w kształt żagla	Przylegają do ciała
Kolor upierzenia młodych	Szaro-brązowe	Szare
Głosy	Wydaje ciche syki, ale za to w locie jego lotki świszczą	Ma donośny dźwięczny głos i w locie często go używa. Skrzydła w locie nie wydają odgłosu



Łabędź krzykliwy



Łabędź czarnodzioby

nowe rezerwuary żywności – rośliny z pól uprawnych. Zamiast w okresie zimowiska żerować wykorzystując swoje długie szyje w płytkich wodach czy to śródlądowych czy morskich wybierają kukurydziska, oziminy i rzepak. To nieograniczone źródło pożywienia i może to im sprzyjać. Może nawet pojawia się u nich jakieś zmiany morfologiczne z powodu zmiany rodzaju pożywienia?
fot. autor



Ryszard Adamus
Od dziecka miłośnik przyrody choć z wykształceniem technicznym. Łowiectwo uprawia z aparatem fotograficznym.



Łabędź czarnodzioby

NIE DLA PSA KIEŁBASA

Tadeusz Sadowski



Nauczmy się korzystać z psa myśliwskiego, a nie tylko chwalić się jego pozornymi osiągnięciami - to myśl, która pchnęła mnie do napisania tego krótkiego tekstu o podstawach szkolenia, przyjaźni, zaufaniu i przywiązaniu, a niekoniecznie o aporcie, dohledawce, czy pucharach...

Początki początków - szczeniak w domu, ogólne poruszenie, zadowolenie i euforia. Szczenię jest kochane, rozpieszczane i robi, co

chce. Cała rodzina uczestniczyła w wyborze rasy, hodowli, wreszcie konkretnego szczeniaka, więc euforia udziela się każdemu z osobna, nie wyłączając hodowcy, z uwagi na fakt docenienia jego pracy i wkładu w plan hodowlany. Mija czas - niestety bardzo krótki - i drogi właściciel - hodowca się rozchodzą, a co za tym idzie, biorąc pod uwagę cechy szczeniaka - im lepsze szczenię, czyli budzącą się pasję i ponadprzeciętny rozwój psychofizyczny - tym wyraźniej zaczyna

uwidaczniać się dramat niedoświadczonego właściciela, który tak naprawdę jest największym dramatem psa ...

Wszystkie rasy myśliwskie zostały stworzone przez człowieka do pewnych zadań ... zadań bardzo specjalistycznych. Jest to wynik pracy wielu pokoleń ludzi, którzy przy kształtowaniu rasy nie mieli pojęcia o genetyce. Tworzyli rasę w oparciu o własne potrzeby i oczekiwania selekcyjując najlepszy materiał. Pozostawili nam dziedzictwo, które powinniśmy uszanować! Dlatego układając psa myśliwskiego, powinniśmy znać historię rasy i wiedzieć do czego nasi przodkowie ją stworzyli, a przede wszystkim wiedzieć jakimi metodami je układać, bo każda rasa wymaga od nas innego podejścia. Należy więc zadać sobie zasadnicze pytanie - czy dzisiaj jesteśmy w stanie to zrobić, biorąc pod uwagę, że co rusz napotykaemy na różne bariery, choćby wynikające z wprowadzania przepisów „naszych czasów”. Mógłbym przytoczyć tu choćby zakaz korzystania z dziczych zagród lub pracy na sztucznej norze. Szkoleniowcy układający dzikarze i norowce wiedzą doskonale, że przestrzegając prawa „wypuszczają na ring zawodnika bez wcześniejszych sparingów”, co jest absolutnym barbarzyństwem - bo inaczej tego nazwać się nie da.

Wracając jednak do szkoleń i zakładając, że mamy pełen pakiet możliwości, skupmy się na bardzo ciekawej i licznej grupie VII FCI - Wyżły, do której zalicza się blisko 40 ras. Proszę mi wierzyć, różnice w metodyce szkoleń i komunikacji są ogromne. Wyżły kontynentalne są bardzo plastyczne, dużo łatwiejsze w prowadzeniu i układaniu niż wyżły brytyjskie. Nie zapominajmy, że „kontynenty”, to psy wszechstronne,

tak więc dobrze ułożony „kontynent” będzie doskonale pracował jako tropowiec, bez problemu puścimy go w miot jako dzikarza, bez względu na warunki pogodowe popolujemy z nim na gęsi, kaczki czy bażanty koguty, czy też bez problemu wypracuje, zadławi i zaaportuje nam lisa, jenota czy innego drapieżnika. Są to również psy stróżująco-obronne, często określane mianem „psa jednego pana”. W grupie VII mamy też „brytyjczyki” i to już zupełnie „inna bajka”. Metodyka szkoleń „kontynentów” zupełnie nie sprawdzi się przy „brytyjczykach”. Są to psy bardziej wrażliwe, delikatne i znacznie szlachetniejsze, dlatego też musimy zapomnieć o pruskiej metodzie układania. W ich przypadku wkracza postawa prosząca. Oczywiście mówimy





samodzielność i oczywiście pracę węchową - goni na oko, ale wrócić musi nosem - i to już jest szkolenie.

Wracając do komunikacji - nie ma recepty i złotej metody na dotarcie do poszczególnych ras, charakterów i temperamentów psów. Jednakże, gdy poświęcimy psu uwagę, on odwdzięczy się tym samym i będzie skoncentrowany na nas, a to jest naj-ważniejsze, to jest właśnie fundament dobrej współpracy. Pozwólmy mu zapracować na naszą przyjaźń robiąc to, co potrafi najlepiej, a chwalenie się sztuczkami zostawmy internetowym championom.

fot. archiwum autora



Tadeusz Sadowski
Myśliwy z wieloletnim stażem,
doświadczony kynolog
i szkoleniowiec

tu o szkoleniowcu. Ale gdy już przyjdzie nam oglądać owoce pracy w warunkach naturalnych to „anglik” w polu „brzmi jak poezja”. Osobiście uważam, że nie ma piękniejszego widoku! Z pełną świadomością mogą również powiedzieć, że ktoś, kto ułożył „brytyjczyka”, ułoży również „kontynenta”, odwrotnie już ta teza się nie sprawdzi. „Anglikowi” trzeba dać przestrzeń i wolność, a dopiero wtedy on pokaże nam, co jest w stanie dla nas zrobić. Reasumując i porównując omawiane dwie sekcje to, jeśli duże pole należy do „brytyjczyka”, to na małym polu „kontynenty” radzą sobie o wiele lepiej, co wynika z ich predyspozycji.

Dochodząc jednak do meritum - jest coś, co łączy wszystkie rasy myśliwskie, a grupę VII w szczególności - UWAGA POŚWIĘCANA PSU. Wypuszczając psa w łowisku musimy poświęcić mu całą swoją uwagę - priorytetem jest pies - przecież docelowo tego samego oczekujemy od niego, więc ... Obserwując jego pracę, to w jaki sposób czyta pole, jego mowę ciała, zaczynamy się go uczyć, poznawać, rozumieć. Jeśli nie poświęcimy mu pełnej uwagi wówczas „może” albo „na pewno” umknie nam coś ważnego. Nic podczas polowania nie daje takich wrażeń, jak dobrze ułożony i współpracujący wyżeł. Mam

tu na myśli psa z dużą pasją i temperamentem łowieckim, które pies musi posiadać, ale też musi to być ujęte w karby dyscypliny - w przeciwnym razie cały czar pryska i z takim psem, który „nie jest w ręce” nie powinno, a wręcz nie da się polować.

Reasumując - pies potrzebuje ruchu, treningu i dyscypliny, bo inaczej frustracja go zmanieruje. Psy, to zwierzęta stadne, ale to morderca powinien być na szczycie hierarchii, dając psu poczucie bezpieczeństwa i komfort psychiczny. Im lepszy pies, tym większe będzie sprawiał „kłopoty”, nie wyłączając niekontrolowanych zachowań agresywnych. Szkoląc młodego psa nie koncertowałbym się jednak na tym, czy robi stójkę w czwartym czy piątym miesiącu życia, co i jak nam zaaportuje - czym oczywiście moglibyśmy zabłysnąć na forach internetowych - a przede wszystkim na trzech fundamentach: APEL, APEL i jeszcze raz APEL. Goniący siedmiomiesięczny szczeniak? Oczywiście, że tak! Goniący młody pies rozwija wszystko to, czego będziemy potrzebować w późniejszym szkoleniu - skrócić psa możemy zawsze, jednak rozbudzić w nim pasję jest niezwykle ciężko. Poza rozwojem fizycznym, goniący za zwierzyną młody pies rozwija



Jakie zwierzęta pobierają szczepionki przeciwko wściekliznie?

Karolina Sondej, Marek Wajdzik



fot. Patryk Sikora

Wścieklizna (po łac. *rabies*) to choroba wirusowa znana powszechnie od dawna, ale mimo to nadal wywołująca niepokój wśród ludzi. Występuje ona praktycznie na całym świecie, poza terenami arktycznymi (Grenlandią i Antarktydą).

Zakażenie wścieklizną następuje poprzez kontakt z wydalinami chorego zwierzęcia takimi jak: ślina, krew, kał, mocz czy mleko, a głównymi nosicielami choroby są gatunki mięsożerne – dzikie psowate. W Europie są to głównie lis i wilk, ale także ssaki z rodziny łasicowatych. Stwierdzono również przypadki wścieklizny u nietoperzy oraz gryzoni takich jak wiewiórki czy myszy.

W ostatnich latach, ze względu na dynamiczny wzrost liczebności, dużego znaczenia jako roznośców wścieklizny, nabiera również jenot, u którego w latach 1994–2004 zdiagnozowano około 700 zachorowań, co stanowiło 8% wszystkich przypadków wścieklizny.

Mimo dużego postępu w medycynie, wścieklizna nie jest leczona u chorych zwierząt,

a u ludzi szanse wyzdrowienia mają osoby z wcześniej stwierdzonym podejrzeniem i odpowiednio wdrożonym leczeniem. Wyróżnić można dwie postaci kliniczne choroby: postać szalową (agresywną) i porażenną („cichą”). Charakterystyczne objawy u chorego zwierzęcia to ślinotok, gorączka, trudności w przełykaniu, biegunka lub zaparcia, wymioty, porażenie mięśni żuchwy i przełyku. Wraz z postępującą chorobą dochodzi charakterystyczny wodowstręt i światłowstręt. Śmierć następuje w przeciągu 2 do 4 dni. U człowieka, tak samo jak i u zwierząt, rozwija się jedna z dwóch postaci choroby. Szczęśliwie została wytworzona skuteczna szczepionka i to ona jest głównym wynikiem powodzenia w walce z tymi wirusami. Pierwsze skuteczne szczepienia opracował Ludwik Pasteur, jednak do codzienności na świecie szczepionki weszły dopiero w 1920 roku. Choroba rozprzestrzeniła się w Europie podczas II wojny światowej i w latach powojennych. W Polsce na wściekliznę początkowo chorowały głównie psy – była to tzw. wścieklizna uliczna. Wprowadzone w 1949 roku obowiązkowe

szczepienia dla czworonogów skutecznie rozwiązały ten problem.

Wraz z opanowaniem „miejskiej” odmiany choroby rozwijać zaczęła się tzw. „wścieklizna leśna”. Od połowy lat 50. XX wieku odnotowywano liczniejsze przypadki tej choroby wśród zwierząt dzikich. W latach 1986–1997 na udokumentowane wszystkie zajścia, około 70% przypadków dotyczyło lisów. Początkowe zwalczanie wścieklizny w Polsce opierało się na odstrzałach sanitarnych. Polegało to na zmniejszaniu populacji lisa do granicznej wartości zagęszczenia populacji wynoszącej mniej niż 0,3 lisa/km². Było to jednak rozwiązanie krótkotrwałe. Po paru latach liczba osobników ponownie rosła i problem choroby powracał. Przełomem okazało się wynalezienie ORV – czyli doustnej skutecznej szczepionki przeciwko wściekliznie. Zastosowano w przynęcie o charakterystycznym rybim zapachu szczepionka składa się z kapsułki ze środkiem uodporniającym lub odzjadliwionym szczepem wirusa. Jej zadaniem jest pobudzenie organizmu do samodzielnego wytworzenia odporności. Od 2002 roku szczepienia mają charakter ogólnopolski. Współcześnie szczepienia doustne zwierząt dziko żyjących wykonuje się dwa razy do roku: na wiosnę (szczepienie dorosłych osobników) i jesienią (szczepienie urodzonych podczas lata młodych).

Celem badań była ocena efektywności spożywania szczepionek przez lisy oraz sprawdzenie, jakie inne gatunki okazują nią zainteresowanie i także spożywają rozrzuconą przynętę.

Szczepionki (bądź ich substytuty) wykładano na terenie powiatu tarnowskiego wspólnie z pracownikiem Powiatowego Inspektoratu Weterynaryjnego w Tarnowie. Rozmieszczano je w różnych kompleksach leśnych oraz na terenach śródpolnych. Podczas jesiennej i wiosennej „szczepienia” asystowano osobie odpowiedzialnej za ręczne rozkładanie szczepionek w terenie i przy szczepionkach umieszczano fotopułapki. Po 5 dobach od wyłożenia sprawdzano, czy szczepionka została pobrana i ściągano urządzenie. Termin dostępności szczepionki (5 dni) wynikał z wytycznych Powiatowego Inspektoratu Weterynaryjnego w Tarnowie (po tym terminie szczepionka nie jest skuteczna).

Z racji tego, że ręczne rozkładanie szczepionek było akcją jednorazową, w celu zwiększenia badanej próby wykonano próby dodatkowe z wykorzystaniem substytutu szczepionki – kawałków wędzonej ryby. Łącznie na terenie powiatu rozmieszczono 56 punktów – 12 z właściwą szczepionką oraz 44 z substytutem.

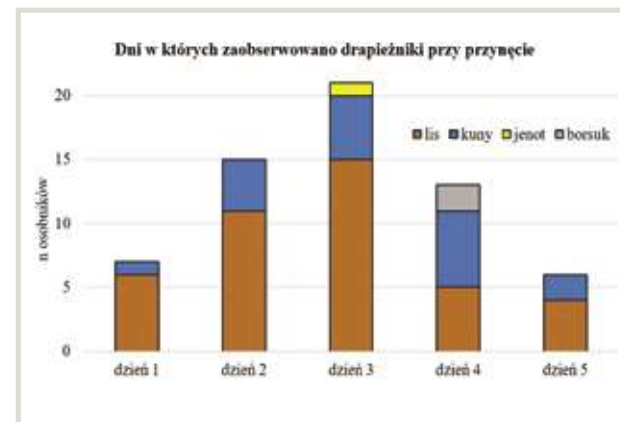


fot. Ryszard Adamus

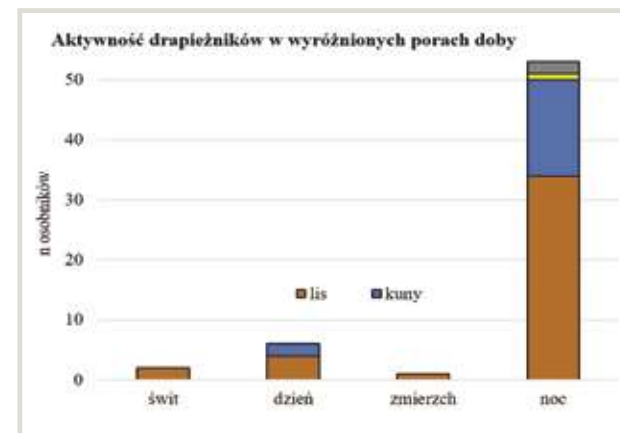


Przeanalizowano łącznie około 4,5 tysiąca zdjęć i filmów. Na 856 materiałach wizyjnych odnotowano różne gatunki zwierząt. Wśród tych nieobjętych badaniami najliczniej spotykane były sarny i dziki. Fotopułapki uchwyciły również aktywność zajęcy, małych gryzoni i, w dwóch przypadkach, kota domowego. Wokół szczepionki (przynęty) pojawiły się również sójki, gawrony, bażanty i kosy.

Spośród sfotografowanych dzikich drapieżników największy udział miały lisy (66,1%) oraz kuny (29,0%). Szczepionką lub przynętą zainteresowały się również borsuki oraz jeden jenot. W czasie badań przy 37 przynętach (na 56 monitorowanych) zaobserwowano łącznie 62 drapieżniki, jednak tylko część z nich (ok. 59,7%) pobrała szczepionkę. Na powyższy wynik w większości wpływ miały: wcześniejsza konsumpcja szczepionki przez innego drapieżnika lub jej nieodnalezienie. Spośród 56 wyłożonych przynęt 37 (66%) zostało spożytych przez: 22



lisy, 12 kun, 2 borsuki i jednego jenota. Przy 19 „punktach szczepień” nie zaobserwowano obecności drapieżników.



Większą różnorodność drapieżników zaobserwowano w terenach leśnych. Na polach i łąkach sfotografowano jedynie lisy i kuny.

Najwięcej drapieżników pojawiało się 3 dnia po wyłożeniu przynęty (21 osobników). Dużo zwierząt pojawiało się również 2 (15) i 4 (13) dnia. Najmniej stwierdzono ich 5 dnia (tylko 6 osobników). Lisy pojawiały się najliczniej trzeciego (15 os.) lub drugiego (11 os.) dnia, z kolei kuny i borsuki czwartego dnia.

Najwyższą aktywność drapieżników przy szczepionce lub przynęcie odnotowano nocą (53 os.). Obserwacje podczas świtu i zmierzchu dotyczyły tylko trzech lisów. Z kolei w ciągu dnia aktywne były 4 lisy i dwie kuny. Większość zwierząt zauważonych za dnia również stanowiły te rude psowate. Odnotowano tylko 2 przypadki aktywności kuny za dnia. Borsuki i jenot były aktywne tylko nocą.

Drapieżniki przy szczepionkach lub ich substytutach najczęściej pojawiały się (w 80,65% przypadkach), gdy było pogodnie. Załedwie pięć obserwacji poczyniono podczas pochmurnych dni (4 lisy i 1 kuna), a w czasie opadów (deszczu lub śniegu) fotopułapki odnotowały pojawienie się siedmiu lisów. Drapieżniki w większości (98%) były aktywne, gdy panowała temperatura poniżej 15 C. Jeden lis pojawił się podczas słonecznego dnia, gdy termometr urządzenia wskazał 34 C.

Do tej pory skuteczność szczepienia lisów określano na podstawie sekcji zwłok odstrzelonych osobników i stwierdzenia obecności przeciwciał oraz markera z przynęty – tetracykliny. Zbadana w ten sposób skuteczność wahała się w ostatnich latach na terenie województwa małopolskiego od 84,2% do 91,6%. Z kolei badania z użyciem fotopułapek wykazały, że 2/3 wyłożonych szczepionek zostało pobranych. Wyników tych badań nie można w żaden sposób porównać, gdyż pierwsze (sekcyjne) informują o skuteczności szczepień, a drugie (fotopułapki) o procencie odszukanych przez drapieżniki szczepionek.

W związku ze szczepieniami lisów pojawiły się kontrowersje dotyczące słuszności rozrzucania szczepionek, które znacznie ograniczyły śmiertelność naturalną tego drapieżnika doprowadzając do wzrostu jego liczebności. Wiąże się to z inną groźną chorobą roznoszoną przez lisy – alweokokozą (inaczej zwaną bąblowicą) powodowaną przez tasienca – bąblowca wielojamowego, którą zarazić się można poprzez przypadkowe spożycie jaj wydalonych przez żywiciela ostatecznego np. poprzez zjedzenie nieumytych owoców leśnych.

W wyniku wzrostu liczebności lisów na skutek szczepień w Polsce i krajach ościennych odnotowano wzrost liczby zwierząt i ludzi zarażonych tym tasiencem.

Zwiększona liczebność lisów przyczyniła się również do spadku liczebności zwierzyny drobnej – kuraków i zajęcy. Drapieżniki te faktycznie zwiększyły pozyskanie swoich ofiar, jednak nie są one jedynymi sprawcami ogólnego regresu ich liczebności. Warto pamiętać także o innych czynnikach śmiertelności, wpływających na stan populacji zwierzyny drobnej, takich jak choroby, pasożyty, ale i wszelakie czynniki abiotyczne – zmiany środowiska i klimatu, współczesne rolnictwo czy ruch samochodowy.

Należy jednak mieć na uwadze, że mimo współczesnego postępu w medycynie wścieklizna jest nadal chorobą nieuleczalną i stanowi zagrożenie dla ludzi i zwierząt domowych. Trzeba też pamiętać, że lis jest ssakiem potrzebnym i pełniącym w ekosystemie bardzo ważną rolę. Nie można całkowicie go wytępić ze środowiska na rzecz ochrony innych gatunków. Warto jednak monitorować i utrzymywać jego populację na takim poziomie, żeby wspomóc również wzrost pogłowia kuraków i zajęcy np. poprzez wzmożone odstrzały drapieżników.



dr hab. inż. Marek Wajdzik, prof. URK
leśnik, pracownik naukowy Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, wykładowca Gospodarki łowieckiej



Karolina Sondej
absolwentka leśnictwa na Uniwersytecie Rolniczym im. Hugona Kołłątaja w Krakowie, pasjonatka zoologii leśnej i jeździectwa



INTELEKTUALIA MYŚLIWSKIE KRAKÓW'2024

Hubert Zwinczak

Niejako obok PZŁ funkcjonują łowieckie organizacje - można by je nazwać ideowymi, które w spektrum swych zainteresowań lokują kwestie szeroko rozumianej kultury łowieckiej, czy sprawy prawne, legislacyjne, bądź stowarzyszeniowe naszego związku. Dwie spośród nich wysuwają się na czoło — to Klub świętego Huberta i Towarzystwo Łowieckie Ziemi Wschodnich. Nawiasem mówiąc, to wielu ich członków należy do obydwu stowarzyszeń.

Efektom działalności pierwszej z nich są Intelktualia Myśliwskie – cyklicznie organizowane konferencje naukowe, często przy współudziale Muzeum Łowieckiego w Kozłowie. Pokłosiem tych spotkań są wydawane w formie papierowej, teksty referatów z poszczególnych sesji pod tytułem właśnie Intelktualiów Myśliwskich. Wydawnictwo stanowi jakże potrzebne forum wymiany myśli i poglądów, na które nieraz nie ma miejsca w oficjalnej prasie łowieckiej. Klub został założony przez grupę myśliwych, widzących potrzebę zmian w naszym związku oraz mających naturalną potrzebę powiększania swej wiedzy i kwalifikacji łowieckich. Miało to miejsce blisko trzy dekady temu, lecz po raz pierwszy w tym roku Intelktualia Myśliwskie zagościły w Krakowie. Mieli w tym swój udział pełniący funkcję skarbnika klubu Adam Benedykt Bisping wraz z Jerzym Donimirskim, właścicielem Hotelu Polskiego, umożliwiając klubowiczom obrady w gościnnych wnętrzach tego pięknego miejsca. Wracając jednak do wydarzeń sprzed dwudziestu sześciu lat – osobą mającą znaczący wpływ na powstanie klubu był Tomasz Konarski – współzałożyciel i wieloletni dyrektor Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Łazienkach. On to wymyślił ideę, koncepcję i nazwę Intelktualiów. Towarzyszyło mu grono myśliwych stawiających sobie za cel, mówiąc najogólniej, podniesienie jakości polskiego łowiectwa. Byli wśród nich Bronisław Komorowski, Roman Jagieliński – minister rolnictwa i Jan Komornicki, poseł sprawozdawca Ustawy łowieckiej z lat dziewięćdziesiątych, wszyscy trzech zresztą obecni na sali podczas krakowskich

intelektualiów. Efektom były cykliczne spotkania i publikacja kolejnych zeszytów dokumentujących poszczególne sympozja.

Siłą prezentowanych referatów jest to, iż przedstawiający je autorzy niejednokrotnie stanowią elitę w swojej profesji, co z kolei przekłada się na wysoki poziom ich opracowań. Dowodem na to niech będzie fakt, iż podczas tegorocznej, krakowskiej edycji jednym z prelegentów był prof. Jan Ostrowski, były wieloletni dyrektor Muzeum na Zamku Królewskim na Wawelu, a obecnie, od sześciu lat prezes Polskiej Akademii Umiejętności.

Spektrum podejmowanych zagadnień było bardzo rozległe – od dyskusji na temat przyszłości naszego łowiectwa, po myśliwskie konotacje rodziny Wodzickich.

Otwarcia dwunastych już Intelktualiów Myśliwskich dokonał prezes klubu Dariusz Młotkiewicz. Powitał przybyłych uczestników i gości, w tym przede wszystkim pana prezydenta Bronisława Komorowskiego, znanego z sympatii prołowieckich, wspierającego nas we wspólnej pasji, czy to ze sztućcem, czy aparatem fotograficznym. Następnie pokrótce zarysował historię stowarzyszenia i sylwetki jego twórców.

Konferencja składała się z dwóch paneli dyskusyjnych i dwóch cykli wykładów. Pierwszą część obrad poprowadził Witold Daniłowicz jako moderator, a udział wzięli prof. Henryk Okarma, Tomasz Nowak oraz Mariusz Rubiś. Tematem dyskusji było „Polskie łowiectwo przeszłość czy przyszłość?” Tu ścierały się z grubsza dwie koncepcje. Jedna zakłada





zlikwidowanie monopolu PZŁ na tworzenie stowarzyszeń łowieckich i budowanie naszych struktur od nowa. Inna idzie raczej w kierunku modernizacji związku, z utrzymaniem jego ogólnych ram prawnych. Wielką byłaby szkoda, gdyby przy okazji tych zmian zatracono istotną wartość, jaką stanowią koła łowieckie. Więzy towarzyskie, często wielopokoleniowe, czy kontakty z ludźmi, na których polujemy, to społecznie istotny aspekt naszej pasji. Rezygnowanie z niego byłoby wylewaniem dziecka z kąpielą. Piszę te słowa jako od ponad czterdziestu

lat członek jednego z kół, a odnoszę wrażenie, że ktoś, kto nie przeszedł takiej drogi, po prostu nie rozumie, a w każdym razie nie potrafi docenić jej zalet i wartości.

Następnie odbyła się sesja wykładowa „Historia – łowiectwo w Małopolsce”, którą poprowadził Adam Bisping. Cykl wykładów rozpoczął dr Łukasz Bajda odczytem „Historia bieszczadzkiego łowiectwa”. Przywołał tu szereg zapomnianych postaci, tworzących obraz tych ziem i ludzi na nich żyjących, z perspektywy przeżyć myśliwskich. I tak dowiadu-

jemy się o myśliwskich konotacjach Aleksandra Fredry, Wincentego Pola (tych akurat przedstawiać nie trzeba), ale też wielu innych mniej znanych osób, jak na przykład Jerzego Jarosza – myśliwego i leśnika, autora interesujących pamiętników, czy Jerzego Strzemię Janowskiego – bardziej koniarza niż myśliwego, autora pięknej książki „Karmazyny i żuliki”. Jeśli do tego dodać cykl akwarel Juliusza Kosaka „Polowanie w Użoku u Sapiehów”, to powstaje obraz ludzi, których dokonania tworzą historię tej ziemi.

Kolejny mówca, Waldemar Smolski, przybliżył nam m.in. sylwetkę Kazimierza Wodzickiego, wybitnego ornitologa i myśliwego, w referacie „Rola rodziny Wodzickich w kształtowaniu łowiectwa w Galicji”. Tu warto odnotować, iż Kazimierz Wodzicki to pradziadek naszego gospodarza spotkania, Jerzego Donimirskiego. Piszący te słowa słuchał wykładu z tym większym zainteresowaniem, bowiem właśnie monografia „Słonka” autorstwa Wodzickiego była jedną z pierwszych kupionych przez niego książek myśliwskich, przed z górą półwieczem.

Późniejsza przerwa kawowa była okazją do wymiany na żywo uwag, odnośnie do poszczególnych wystąpień i radosnych powitań dawno nie widzianych znajomych.

Drugą część otwierał panel dyskusyjny „Czy czytelnictwo łowieckie ma przyszłość?”. Moderatorem dyskusji był Bogdan Złotorzyński, redaktor naczelny Braci Łowieckiej, a uczestniczyli Jacek Seniów (Pasje) i Marek Wajdzik (Myśliwiec Krakowski). Słuchając ich wypowiedzi myślę, że mamy prawo do ostrożnego optymizmu, to znaczy, że póki co nas jeszcze czytają, aczkolwiek paląca jest kwestia uczestnictwa i funkcjonowania w środowisku internetowym. Bezsprzeczne wydaje się jednak fakt, iż to czego tak kiedyś obawiały się nasze władze, czyli mnogość czasopism łowieckich, przyczynia się jedynie do podnoszenia ich poziomu, ku pożytkowi polskich myśliwych.

Kolejną sesję wykładową poprowadziła Elżbieta Sęczykowska – wiceprezes Klubu św. Huberta, znana propagatorka sztuk plastycznych w środowisku myśliwskim.

Otwierający sesję wykład prof. Jana Ostrowskiego – „Dawne pałace myśliwskie w Polsce” – to jedna z najciekawszych prezentacji na konferencji. Z ogromną swadą i erudycją, a przede wszystkim znajomością tematu objaśniał historię i przemiany na przestrzeni wieków jaką prze-

szedł ten typ architektury, a także wzorce, mające wpływ na bardzo nieraz odległe od nich realizacje. Przykładem tego może być choćby pałac myśliwski ks. Antoniego Radziwiłła w Antoninie, budowany w latach 1822-1824 według projektu Karla Friedricha Schinkla, czy Różana z pałacykiem myśliwskim Sapiehów, oba na planie ośmiokąta, z salonem-hallem pośrodku i czterema symetrycznie odchodzącymi skrzydłami. Bywało, że projektowali je również najlepsi – dość powiedzieć, że autorem obiektu w Czernawczycach, dla Radziwiłłów, jest Tylman z Gameren, twórca kościoła św. Anny w Krakowie. Inny zgoła styl prezentują późniejsze, XIX wieczne realizacje - Potockich w Julinie, pałac myśliwski ks. v. Pless w Promnicach, czy Habsburgów w Wiśle.

Występująca później Anna Fic-Lazor to współorganizatorka większości poprzednich edycji Intelktualiów, była dyrektorką Muzeum Zamoyskich w Kozłowie. Jej odczyt „Muzea łowieckie w Polsce” to próba opisu głównych ośrodków muzealnych przedstawiających w swoich zbiorach tematykę łowiecką. I tak obok, można by rzec, wiodącego Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Warszawie, funkcjonuje szereg ośrodków ukazujących czy to w części zbiorów, czy w całości, artefakty związane z łowiectwem. Ciekawym tu przykładem jest muzeum w Uzarzewie, gdzie za sprawą przekazanych mu zbiorów Adama Smorawińskiego, będących plonem licznych wypraw safari, placówka bardzo podniosła rangę swych ekspozycji. Inne muzea, na przykład w Niepołomicach, część swych pomieszczeń udostępniło myśliwym na prezentację zbiorów i organizowanie wystaw. Tak więc pomimo permanentnej nagonki na nasze środowisko, możliwość prezentacji naszych dokonań czy szerzej naszej kultury materialnej, zdaje się być (odpukać) niezagrażona.

Całą sesję kończył odczyt „Wątki łowieckie w kapliczkach leśnych” autorstwa Edwarda Marszałka. Kapliczki to jakże częsty element naszego pejzażu, co rusz spotykany podczas polowań. Część z nich





ma łowiecką proveniencję, a fundowane są przez koła bądź pojedynczych myśliwych. Na rozstajach dróg, przycupnięte przy miedzach, w kępach śródpolnych drzew, czy leśnych polanach wszędzie nam towarzyszą jako świadek naszych myśliwskich zmagañ. Jedne postawiono ku czci łowieckich patronów, zaś inne w podzięcie za konkretne zdarzenia, często bardzo dramatyczne i istotne w życiu fundatora. Autor opracowania z wielką starannością dokonał inwentaryzacji omawianych obiektów, podejmując jednocześnie próbę zgromadzenia jak najwięcej informacji o ich historii i za ten trud należą mu się wielkie podziękowania.

Kończąc relację z krakowskiego spotkania nasuwa mi się pewna refleksja natury ogólnej. Otóż niezależnie od tego, w jakim kierunku pójdą zmiany w naszym związku łowieckim – a że takie nastąpią, to pewne – powinniśmy zrobić wszystko, aby czynnie w nich uczestniczyć. Liczenie na to, że „góra” za



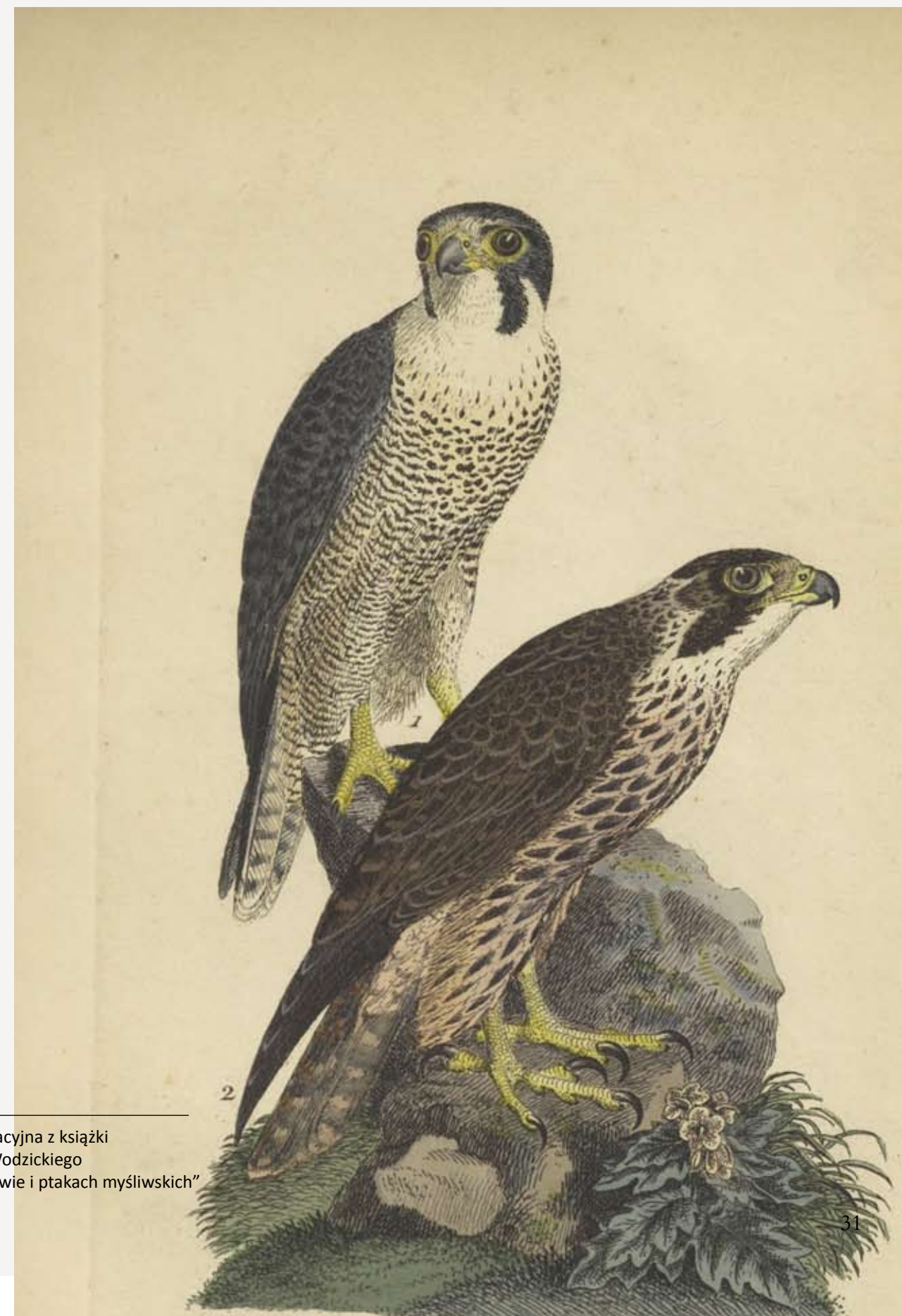
nas to załatwi, może się nie sprawdzić. Różnice poglądów nie są dowodem na naszą swarliwość czy nieorganizowanie, ale właśnie wynikiem szukania optymalnych rozwiązań. Drugi wniosek to uświadomienie sobie, jak silne i głębokie kulturowo są korzenie naszej pasji. Pokazuje to jej łączność z często bardzo odległymi dziedzinami ludzkiej aktywności.

I już całkiem na koniec zupełnie prywatna uwaga. Otóż do początku lat siedemdziesiątych mieszkaliśmy na ulicy Brackiej i często całą rodziną chodziliśmy na obiad do którejś z pobliskich restauracji. Był wśród nich Hotel Polski, który szczególnie ceniłem z jednego powodu. Otóż w jednej z sal wisiała na ścianie piękna diorama, przedstawiająca wypchanego, okazałego lisa na tle zimowego lasu. Lis stał na jego skraju, wpatrując się w uśpioną w dali wioskę, otuloną śnieżnym puchem. Całość wydawała mi się niewymownie piękna i chyba robiła na mnie większe wrażenie niż wisząca po sąsiedzku, u Czartoryskich, Dama z łasiczką. Wszystko to przypominało mi się, gdy po zakończeniu obrad zasiedliśmy do obiadu w hotelowej sali restauracyjnej. I tak za sprawą kongresu duch myśliwski znowu zagościł w tych szacownych wnętrzach. Należą się za to serdeczne podziękowania dla organizatorów, w tym szczególnie panom Adamowi Bispingowi i gospodarzowi Jerzemu Donimirskiemu.

A zatem wszystkim uczestnikom spotkania serdeczne Darz Bór !

Hubert Zwinczak

fotografie pochodzą z archiwum Klubu św. Huberta i Jerzego Donimirskiego



Tablica ilustracyjna z książki Kazimierza Wodzickiego „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich”

Klasyka „małego pola” – z wyżłem na przepiórki

Zbigniew Ciemniowski



.... Nie ma polowań wielkich i małych. Są tylko dusze myśliwskie wielkie i małe. Przyroda będąca źródłem rozkoszy każdego polowania zawsze jest równie wielka i nieśmiertelnie piękna. Jej zawdzięczamy cuda naszych przeżyć, wszystko jedno, czy treścią polowania będzie obława na grubego zwierzę czy na skromnego szaraka.

Julian Eismond
„Moje przygody łowieckie”

Za moich młodych, jeszcze przedłowieckich lat przepiórka była zwykle przypadkową zdobyczą w czasie wrześnieowych polowań na kuropatwy. Potem zniknęła z polskiego katalogu zwierzyny i wpisana została na listę gatunków będących pod ścisłą ochroną. Na liście Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody

(International Union for Conservation of Nature, IUCN) znajduje się w kategorii „gatunki najmniejszej troski”. Moje obserwacje, które poczyniłem w ciągu kilku lat w łowiskach Podkarpacia, Kielecczyny oraz ukraińskiego Podola, wskazują, że gatunek ten występuje licznie i raczej warto rozważyć ponowne

włączenie przepiórki na listę gatunków łownych, niż troszczyć się systemowo o jej przyszłe losy. Temat wart jest osobnego opracowania, jednak tutaj wracam do wymiaru czysto łowieckiego.

Przepiórka jest gatunkiem wędrownym i populacje wyprowadzające lęgi na terenie Europy Środkowo-Wschodniej zimują zwykle na obrzeżach Morza Śródziemnego w Turcji czy w północnej Afryce. To ptak stosunkowo niewielki (masa od 75 do 150 g), żyjący w środowisku rozległych pól uprawnych i nieużytków. Lęgi wyprowadza zwykle raz w roku, jednak na Ukrainie uważa się, że potrafi prowadzić młode nawet czterokrotnie. Niewykluczone też, że wyprowadza lęgi na terenie zimowisk. W sumie, co może trochę zaskakujące, przepiórka jest ptakiem stosunkowo mało zbadanym. Z punktu widzenia kuchni

łowieckiej ma bardzo delikatne, smaczne mięso i była w przeszłości ozdobą nawet najznamienitszych stołów. Ciekawostką jest natomiast to, że mięso przepiórek zimujących w dolinie Nilu, ze względu na karmę tam dostępną, uważa się za trujące dla człowieka.

W Rosji, ale przede wszystkim na Ukrainie, poluje się na przepiórki głównie w okresie ich przelotu na południe, a więc w okresie od końca sierpnia do połowy października. Ptaki w tym okresie żerują bardzo intensywnie, znacznie przybierają na wadze i stają się bardzo atrakcyjne z kulinarnego punktu widzenia. W Ukrainie poluje się na nie zwykle z wyżłami na nieużytkach czy na rzyskach po uprawach pszenicy lub soi. Często używa się wabików naśladujących charakterystyczne nawoływania tych ptaków, co pozwala na ściąganie większej liczby osobników w rejon polowania. Szczególnie duże ich zgromadzenia spotyka się na Krymie przed „skokiem” przez Morze Czarne do Turcji, na której wybrzeżach są niestety masowo wylapywane. Przepiórka prowadzi skryty tryb życia na stosunkowo niewielkiej powierzchni. Niechętnie zrywa się do lotu, woli raczej ucieczkę na piechotę w gęstej roślinności. Poderwanie jej do lotu zwykle nie jest zadaniem łatwym. Zasadą jest też to, że im tłustsza, tym mniej chętna do lotu.

Ptak daje dla wyżła dobry silny odwiatr, jednak ze względu na wspomnianą niechęć do lotu jest niełatwym przeciwnikiem. Wycieka konsekwentnie, i to na spore czasem odległości. Nierzadko po zmyleniu prześladowcy twardo dosiada w gęstej trawie. Nie jest dobrym celem dla młodego wyżła ze względu na konieczność ciągłego dociągania i tym samym częstego niecierpliwego łamania stójki. Czasem na niewielkim polu można spotkać nawet kilkadziesiąt przepiórek, które tworzą istny gąszcz tropów mylących psa.

Ciekawe jest to, że nierzadko wędrującym stadkom przepiórek towarzyszą derkacze. Ukraińcy twierdzą, że są one przewodnikami przepiórek w drodze na południe. Jak jest naprawdę, trudno dociec, tym bardziej że choć przepiórka jest ptakiem licznie występującym w Europie – szacunkowo około miliona par lęgowych – to w sumie, jak pisałem, mało znanym. Derkacz, będący kiedyś w Polsce ptakiem łownym, daje również interesujący dla wyżłów odwiatr i jest wystawiany przez nie tak samo jak przepiórki czy kuropatwy. Na Wschodzie organizuje się osobne konkursy dla wyżłów w pracy na przepiórce. Co ciekawe, prowadzący wyżła deklaruje, czy pies potrafi



aportować ptaki czy też poddaje się ocenie tylko przed strzałem. Powodem jest smakowitość małego, mieszczącego się w całości w psiej kufie ptaka i nieprzeparta chęć u niektórych psów do połknięcia zdobyczy.

Przepiórki w polskich łowiskach

Przepiórka od wielu lat nie należy już w Polsce do gatunków łownych – a szkoda jednak polując dużo z wyzłami, nie sposób nie natknąć się na te ptaki w polu. Pamiętam szczególnie jeden z wyjazdów na Podkarpacie z młodą wówczas Jagą, którą przygotowywałem do konkursu. Zależało mi wtedy na pobycie w łowisku ze stanem kuropatwy dającym szansę na codzienne jej spotkanie. Wędrowałem po wrześniowych polach, po rozległych, często porośniętych wysokimi nawłociami nieużytkach i co chwila Jaga stawała w stójce do stadek przepiórek. Ptaki spotykałem dosłownie na każdym kroku. Nie były to pojedyncze przelotne przepiórki, ale każdorazowo ich rodzinne stadka. Myślę, że przez te parę dni pobytu dane mi było spotkać setki rodzimych lęgowych przepiórek.

Innym razem, wiele lat później, cieszyłem się gościnnością Marka, doświadczonego myśliwego i sędziego kynologicznego. Wokół jego domu, leżącego wśród rozległych pól

południowej Kielecczyny, oprócz często spotykanych zajęcy czy stadek kuropatw, można było zawsze usłyszeć nawołujące się liczne przepiórki.

Przepiórki na polach Ukrainy Pierwsze doświadczenie

Tak się szczęśliwie ułożyło, że kilka lat temu poznałem Anatola, wiceprzewodniczącego Ukraińskiego Klubu Wyzłów Niemieckich Krótkowłosych, a przy tym aktywnego myśliwego oraz hodowcę wyzłów. Na jego zaproszenie i dzięki jego wielkiej gościnności dane mi było zapolować na przepiórki na rozległych polach ukraińskiego Podola.

Na ten pierwszy raz zabrałem ze sobą Florę i jej córkę Gapę. Drogą przez Lwów i Tarnopol dotarłem do Chmielnickiego, w okolicach którego mieliśmy zapolować na przepiórki. Była druga połowa sierpnia, jeszcze zbyt wcześnie na spotkanie wędrujących ptaków, ale liczyliśmy, że natrafimy na ich lokalną populację. Jakoś tak się układa, że ilekroć poluję na Wschodzie, omal zawsze zderzam się z falą piekielnych upałów. Nie inaczej było i tym razem. Żeby móc w miarę normalnie zapolować i nie wykończyć przy tym siebie oraz swoich psów, wyjeżdżaliśmy w teren jeszcze przed świtem, tym bardziej że

každorazowo mieliśmy spory kawał drogi do łowiska.

Pierwszego dnia wziąłem w teren młodą Gapę, która jeszcze nigdy nie spotkała w łowisku przepiórki. Zatrzymaliśmy się na skraju pola. Przed nami leżały rozległe nieużytki porośnięte niezbyt wysoką trawą. Słońce jeszcze nie pokazało się ponad horyzontem, ale widoczność była już wystarczająca. Ruszyłem. Po krótkiej chwili, dosłownie po przejściu kilkudziesięciu metrów, ku mojemu zaskoczeniu Gapa stanęła w klasycznej twardej stójce. Podszedłem. Podniosła się przepiórka. Strzeliłem. Jest! Nawet nie zdążyłem dobrze rozejrzeć się po okolicy! Chwila radości, tym bardziej że Gapa bez wahania zaaportowała ptaka. Potem było gorzej i w sumie spotkaliśmy przepiórki jeszcze tylko kilka razy.

Anatol też był rozczarowany wynikiem tego poranka. Wkrótce zrobiło się zbyt gorąco na polowanie i pojechaliśmy do łowiska dzierzawionego przez mojego gospodarza. Łowisko miało nieco ponad 2000 hektarów, głównie pól uprawnych obsiewanych kukurydzą, oraz trochę lasu i ciekawe łowiecko bagienko będące ostoją dzikiej kaczki. Anatol narzekał jednak na rozszalałe kłusownictwo niweczące jego starania, aby wprowadzić do łowiska bażanty czy odbudować inne gatunki łowne. Ostatecznie w kolejnym roku zrezygnował

z dzierzawy. Jednak tego dnia, tradycyjnym zwyczajem ukraińskich myśliwych, plan przewidywał wspólne spędzenie upalnych godzin dnia przy kociołku zupy rybnej oraz pieczonych przepiórkach będących naszą zdobyczą. Było naprawdę sympatycznie i czas minął bardzo szybko.

Następnego dnia pojechaliśmy do łowiska zarządzanego przez Ihora, kolegę mojego gospodarza, a przy tym doświadczonego myśliwego i hodowcę wyzłów. Do przejechania było sporo kilometrów, ale na Ukrainie jakoś łatwiej znosi się odległość. Ihor przygotował się na nasz przyjazd bardzo starannie. Na noc poprzedzającą polowanie zainstalował na rozległym rżysku po soi wabik naśladujący głos przepiórki. Urządzenie naśladujące ptaki zachęca je do gromadzenia się w niedalekiej okolicy. Ktoś powie, że zadanie myśliwego staje się przez to bardzo proste – wystarczy dobrze strzelać i efekt murowany. Nic bardziej mylnego.

Polowaliśmy na powierzchni może 50 hektarów rżyska zarośniętego już prawie do kolan chwastami i trawą. Ja brałem ze sobą na przemian Gapę i Florę, Anatol polował ze swoim wyzłem krótkowłosym, a Ihor wspierał się pracą młodej szorstkowłosej wyzłicy, zresztą bardzo dobrze pracującej. Przepiórek było sporo, ale też dojście do strzału, na polu dosłownie wysyconym odwiatrem ptaków, było zadaniem nie lada.





Moje wyżlice od razu wystawiały ptaki, a po chwili zaczęły również rozumieć, na czym polega taktyka polowania. Ostatecznie na trokach zawiesiliśmy chyba ze 20 przepiórek. Był to naprawdę udany dzień. Nie tylko łowiecko.

Dla ukraińskich myśliwych polowanie bez wspólnego posiłku w łowisku to nie polowanie. Podchodzą do zadania z prawdziwym nabożeństwem. Dzień wcześniej, w łowisku Anatola, posiłek składał się z pieczonych na żelaznej płycie nad ogniskiem świeżo sprawionych przepiórek oraz zupy rybnej, przygotowanej z prawdziwym pietyzmem w kociołku nad tymże ogniskiem. Ową rybą, wsadem do naszej zupy, był szczupak świeżo złowiony przez kolegę Anatola i sprawiony na miejscu, bezpośrednio przed włożeniem do kociołka. Do tego obrane ziemniaki i inne warzywa oraz różne ciekawe przyprawy. Prawdziwie królewski posiłek, po którym zarówno świeżo przygotowana kawa, jak i butelka czegoś mocniejszego smakowały po prostu wybornie. Tak było dzień wcześniej.

Tym razem Ihor przygotował małe ognisko w cieniu pasa wysokich krzewów rosnących na granicy naszego pola. Nad ogniem zawiesił,

podobny jak wczoraj, kociołek. Do kociołka trafiła część upolowanych przed chwilą i świeżo sprawionych przepiórek oraz strzelony tego dnia gołąb. Rozstawiony został mały stolik i krzesła biwakowe. Na stole, po niedługim przygotowaniu, pojawił się wyborny rosół z naszych przepiórek i gołębia oraz odrobina wódki – czegoż chcieć od życia więcej!

Przepiórki na Ukrainie po raz drugi

W dwa lata później, tym razem na początku września, kolejny raz wybrałem się do Anatola na Podole. Miałem ze sobą Gapę, młodą jeszcze, ale już bardzo opoloną córkę Flory i znakomitego austriackiego psa KS Utz vom Göttlesbrunnerhof. Nie muszę powtarzać, że i tym razem z nieba lał się żar, może nawet większy niż w czasie poprzedniego pobytu. Tradycyjną trasą dotarłem późnym wieczorem do Chmielnickiego. Nazajutrz, jeszcze nocą, wyjechaliśmy na spotkanie z Ihorem, którego poznałem w czasie poprzedniego pobytu. Zresztą z Ihorem dane było mi spotkać się też w Polsce, w czasie międzynarodowego konkursu wyżłów w Nałęczowie.

Plan polowania wyglądał klasycznie. Dzień wcześniej na polu ustawiono wabik naśladowący

nawoływanie przepiórek, a my pojawiliśmy się w umówionym miejscu bladym świtem. Krótka odprawa i w teren. Ja, jak wspomniałem, polowałem z Gapą, Anatol ze swoim doskonałym, pełnym pasji Ergo, a Ihor z szorstkowłosą suczką, którą widziałem i podziwiałem w pracy poprzednim razem. Polowaliśmy znowu na starych rżyskach po soi, mając w tle rozległe pola kukurydzy, a jeszcze dalej niewielkie jezioro. Teren był nieco pagórkowaty i poprzecinany firankami krzewów dających trochę schronienia przed palącym słońcem.

Przepiórek nie było zbyt dużo, ale na tyle, że każdy z nas miał okazję do co najmniej kilku spotkań. Psy pracowały bardzo dobrze, a przy okazji udało się zrobić trochę niezłych zdjęć. Gdy zrobiło się zbyt gorąco, zaszliśmy na chwilę nad jezioro, chcąc ochłodzić psy i mając przy tym nadzieję na spotkanie kaczek. Kaczki były ale latały szybko, a przede wszystkim bardzo wysoko.

Na obiad zajechaliśmy tym razem do prywatnego ośrodka łowieckiego w okolicach Chmielnickiego. Obwód liczył bodaj 5000 hektarów i obejmował szczyty sporych wzgórz porośniętych ciekawym, zbudowanym z mieszaniny drzew liściastych lasem oraz otaczające go pola uprawne. Łowisko szczyliło się najlepszym na Ukrainie stanem jelenia

Dybowskiego, sprowadzonego tam z głębi Rosji jeszcze w czasach ZSRR i wyjątkowo dobrze zaaklimatyzowanego. Mało tego, u podnóża wzniesień zbudowano sporą bażantarnię z obsadą, jak twierdzili gospodarze, około 50 tysięcy ptaków. W głębi łowiska, nad kilkoma stawami wysychającymi niestety w tropikalnym żarze, znajdował się spory ośrodek wypoczynkowy. Na środku jednego ze stawów, na palach wbitych w jego dno, powstała restauracja, zaskakująco duża jak na to, co prawda niezwykle, ale przecież odległe od głównych dróg miejsce. Trzeba powiedzieć, że pieczone z miejscowych jeleni smakowało tam wybornie. Restauracja była oczywiście tylko przystawką do ośrodka wypoczynkowego składającego się z luksusowych domków wykonanych z drewna oraz z budynku centralnego służącego obsłudze całosci. Trochę się rozpisalem, odbiegając nieco od głównego wątku, ale miejsce z pewnością warto jest zaprezentowania.

W ramach zwiedzania zajrzeliśmy też na imponujących rozmiarów ambonę oraz pobuszowaliśmy po obrzeżach pól. Ciekawostką niech będzie to, że na Ukrainie nie ma a przynajmniej w tamtym okresie nie było pojęcia „szkody łowieckiej”, rozumianego jako konieczność pokrycia kosztów uszkodzonych upraw przez dzierżawcę obwodu.





Anatol, któremu towarzyszył tego dnia jeden z synów, sięgnął do samochodu i rozstawił klasyczny zestaw – stół z krzesłami turystycznymi oraz „małe co nieco”. Jak zawsze było super.

Na koniec parę słów podsumowania. Ten rodzaj polowania z wyzłem to rzeczywiście praca w „małym polu”. Poluje się zwykle na powierzchni kilkudziesięciu hektarów i od psa wymaga się przede wszystkim uważnej, spokojnej pracy. W wielkiej cenie jest dobry nos, gdyż te małe ptaki potrafią nieprawdopodobnie skutecznie lawirować w trawach. Dla mnie ciekawym doświadczeniem było to, w jaki sposób moje wyzłice adaptowały się do zupełnie nietypowych dla nich warunków pracy. Z przyjemnością obserwowałem, jak szybko Flora i może jeszcze bardziej Gapa zaczęły rozumieć zachowanie obronne przepiórek i jak szybko potrafiły się do tego dostosować.

Przepiórka stwarza też bardzo dobre warunki do nauczania wyzła okrażania swojego celu i zatrzymywania jego wyciekania do przodu. Niemalym wyzwaniem dla wyzła jest poszukiwanie postrzałka oraz jego precyzyjny, nie niszczący tuszki aport. Ciekawe jest polowanie jednocześnie z dwoma wyzłami, co zwiększa szansę na zatrzymanie ptaka i dojście do strzału.

Równocześnie taka taktyka dobrze uczy wyzły współpracy na jednym celu. Polecam ten rodzaj polowania każdemu wyzłarzowi chcącemu lepiej poznać potencjał swoich psów.

Kiedy pisałem te słowa i przywoływałem wspomnienia w trakcie przeglądania zdjęć, zamarzyło mi się znowu odwiedzić te wspaniałe tereny. Bardzo chciałbym wziąć udział z Herą w konkursie na przepiórkach prowadzonym według ukraińskiego regulaminu. Jeśli rozpalająca się wojna pozwoli, to może dam radę tam pojechać i dołożyć trochę informacji do tego rozdziału moich łowieckich podróży z wyzłami.

fot. archiwum autora



Zbigniew Ciemniewski
dr hab. n. med., kardiolog, myśliwy z prawie 50-letnim stażem, autor licznych artykułów o łowiectwie w Gwarectwie Myśliwych, Braci Łowieckiej i Łowcu Polskim oraz na stronie www.psymoje.pl, miłośnik polowania z wyzłem, hodowca – hodowla „ze Skolnitego”, założyciel Klubu Wyzłów przy Polskim Związku Łowieckim



Kolejny dzień polowania i kolejny dzień afrykańskich upałów. Tym razem pojechaliśmy nieco bliżej, do łowiska dobrze znanego Anatolowi. Tradycyjnie też Anatol pozostawił na noc wabiki przepiórek.

Zaczęliśmy bladym świtem. Polowaliśmy na bardziej otwartej i nieco wyżej położonej powierzchni porośniętych już trawą rżysk po pszenicy. Teren naszego polowania zamykały ściany kukurydzy. Przepiórek było wystarczająco dużo i psy miały okazję pokazać, co potrafią. Gapa bardzo dobrze współpracowała z Ergo Anatola. W czasie każdego polowania na przepiórki zdumiewała mnie zdolność tych ptaków do ukrycia się przed psem czy wymanewrowania go w niezbyt przecież wysokich odrostach traw i chwastów. Tego dnia to wrażenie uległo jeszcze wzmocnieniu, być może za sprawą mojego rosnącego doświadczenia w tym rodzaju polowania. Po dwóch, może trzech godzinach słońce podniosło się wyżej i temperatura stała się nie do zniesienia.

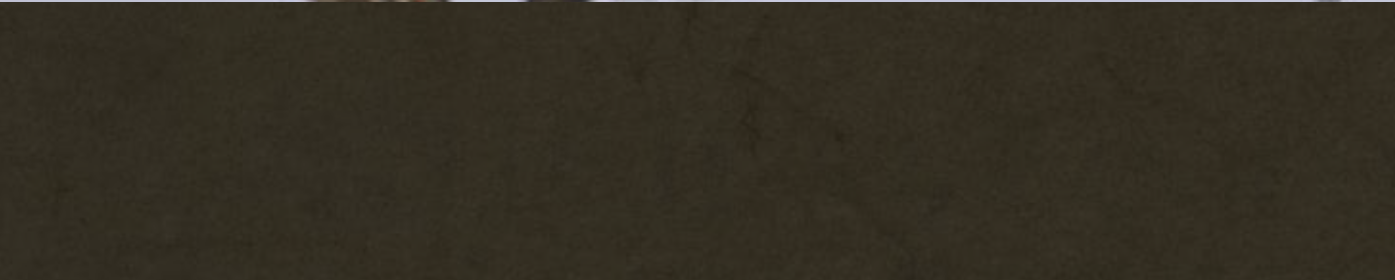


RYSZARD ADAMUS



WIOSNA





Hubert Zwinczak



DAWNO TEMU W DOLINIE BIEBRZY



Okladkę obecnego numeru *Myśliwca* zdobi piękne, a jednocześnie dosyć nieoczywiste zdjęcie. Oto w fontannach rozbryzgiwanej wody, przez zalaną łąkę suną dwie postaci – stosunkowo młody myśliwy i podrostek z długą piką. Dodatkowo, ten młodszy niesie w ręku piękny zrzut – łopatę łosia. Poprzez swą kompozycję, dynamizm sceny, zdjęcie jest bardzo urokliwe, aczkolwiek nie bardzo oczywiste; bo tak właściwie nie wiadomo o co w nim chodzi, czy raczej co ono przedstawia? Jego autor to legenda polskiej fotografii przyrodniczej, a może raczej łowieckiej, Włodzimierz Puchalski. Z kolei myśliwy ze zdjęcia to Wojciech Plewiński, wówczas trzydziestoparolatek, jeden z najwybitniejszych naszych fotografików, „w cywilu” zapalony myśliwy. Zdjęcie stanowi pokłosie wyprawy myśliwsko-fotograficznej nad Biebrzę wiosną, na początku lat sześćdziesiątych.

Na kolejnych fotografiach odnajdujemy świat rozlewisk, pejzażu po horyzont zalanego wiosennymi wodami, z którego gdzieś sterczą samotne drzewa, a czasem w dali widać ciemny pasek lasu. Klimat tamtych czasów bliższy jest przedwojennym relacjom z Polesia, czy „Konopielce” Redlińskiego, który powieściowe Taplary, umieścił gdzieś w tej okolicy.

Rozmawiam z Wojciechem Plewińskim o okolicznościach związanych z tą wyprawą. Otóż każde takie miejsce ma swojego odkrywcę. W tym przypadku był to Wacław Nowak, a raczej jego ojciec Bartłomiej, który w międzywojniu budował leżącą opodal twierdzę Osowiec i pozostał na zawsze pod urokiem tych stron. Tam mieszkując w okolicznych przysiółkach – zaściankach, całe dnie polowali na rozlewiskach Biebrzy. Mieszkańcy tych wsi to przeważnie szlachta szaraczkowa, żyjąca w tym miejscu od potopu szwedzkiego, albo i dłużej. Realia życia

bliższe dziewiętnastego wieku – nowinki typu władza ludowa przyjmowali nieufnie, acz ze stoickim spokojem – nie takich ciemnych przychodziło im przetrzymywać.

Działo się to w okolicach wsi Goniądz, pośród rozrzuconych w łęgowych komyszach Biebrzy przysiółkach. Ich nazwy brzmią intrygująco – Łosia Biel, Carska Szos czy Olszowa Droga.

Ale zacznijmy od początku.

Najpierw był telegram tej treści: GĘSI JEST WALNEGO STOP PRZYJEZDZAĆ! STOP, lub w przypadku, gdy ich było nieco mniej, brzmiał tak: GĘSI JEST STOP ZNAJDUJĄ SIĘ. STOP. To był sygnał, aby porzuciwszy zajęcia mniej istotne (typu etat), natychmiast rozpocząć przygotowania do wyjazdu. A więc strzelba, wodery i kanadyjka – w tamtejszych realiach często jedyny środek transportu. Do tego aparaty fotograficzne, statywy, kochery, termosy, wabiki, bałwanki, siatki – maskirowki i Bóg wie co jeszcze, aż do całkowitego zapchania niewielkiego auta i W DROGĘ! Tak nawiasem mówiąc każde auto w sytuacji wyjazdu na wyprawę myśliwską jest niewielkie.

Nie sposób tu nie wspomnieć o roli jaką w wyprawie odgrywała łódka – kanadyjka. Miejscowa ludność używała płaskodennych łódek na pych zwanych duszehubkami, mało zwrotnych i stosunkowo wolnych. Robiono je z jednego pnia, specjalnie w tym celu wydrą-





zanego. W porównaniu z nimi kanadyjka nie dość że pruć wodę jak Lux Torpeda, to jeszcze można nią było poruszać się po bardzo płytkiej wodzie sunąc dnem po trawie i odpychając się wiosłem. Transport nią więc był szybki, a z uwagi na zwrotność można było wpływać w niedostępne dla innych łodzi zakamarki rzeczne.

Polowali na gęsi, kaczki, cietrzewie i słonki.

Z cietrzewiami sprawa miała się tak. Po wysłuchaniu i zaobserwowaniu gdzie odbywa się główny tok, stawiano tam budki. Przeważnie było to parę sosenek, czasem przykryte dla kamuflażu siatką maskującą. W odległości dobrego strzału stawiano kartonowe bałwanki cietrzewi. To w połączeniu z umiejętnym wabieniem, wydatnie zwiększało szansę na dojsie do strzału. Koguty przelatując między tokowiskami często przysiadły przy zmyślnie poustawianych bałwankach, dając okazję do zdobycia trofeum. Gdy odległość była zbyt duża, czuszykaniem starali się je podciągnąć na bliższy dystans. Kiedyś pojawiła się konkurencja w postaci jastrzębia gołębiarza. Żywo zainteresowany bałwankami zaatakował je, po czym trochę był zdezorientowany, gdy z bliska okazały się dziwnie płaskie. W efekcie rozczarowany odleciał szukać bardziej typowej zdobyczy.

Z gęsiami sytuacja była bardziej zróżnicowana. Zdarzały się strzały z łodzi do nagle nadlatującego klucza, lub podczas brodzenia w woderach w labiryncie zalanych wodą łąk i grądów. Największych jednak emocji przysparzało polowanie z bałwankami. Widok schodzących spod chmur gęsi do siedzącego na dole tabuna, a potem zataczanie kręgów nad nim pozostaje na zawsze w pamięci. Dodatkowym wyzwaniem było podniesienie strzelonej sztuki, co nieraz kończyło się woderami pełnymi wody. Gdy do tego dodać wieczorne ciągi słońek, czasu na inne zajęcia zostawało niewiele. Raz, gdy wieczór zastał go ze Stefanem Wierzbowskim w polu (a może bardziej w wodzie), nocowali na arcie. Art to konstrukcja z gałęzi ustawiana na miejscach wyżej położonych, na której układano zebrane siano – taki odpowiednik naszych snopków czy stogów. Siano zwożono do wsi zimą, lecz bywało, że pozostawało do wiosny i z niego to korzystali łowcy. Nocleg był komfortowy, mimo iż nogi w woderach mieli już w wodzie. Art bywał również przydatny jako czatownia lub budka na cietrzewie.

Innym razem, gdy siedzieli zagrzebani w sianie, podeszła na parę metrów kłepa z łoszakiem. O ile on był żywo zainteresowany zawarciem znajomości, to mama mocno podejrzliwa i zderwowana starała się ściągnąć go ku sobie.





Tytułowe zdjęcie pochodzi z materiału filmowego autorstwa Włodzimierza Puchalskiego, do filmu o wiośnie nad Biebrzą, powstałego we wczesnych latach sześćdziesiątych. Były w nim również sceny myśliwskie, a w roli głównej występował właśnie Wojciech Plewiński. Łopatę łosia kupił Puchalski od miejscowego

gospodarza żalując, że nie chciał mu sprzedać drugiej. Wyrostek ze zdjęcia, to Tadeusz Nieciecki, syn gospodarza z Olszowej Drogi. Puchalski przeganiał ich przez zalane łąki, szukając możliwie efektownego ujęcia, co zresztą udało się nad wyraz. Powstało jeszcze parę ujęć tej sceny.

I tu historia zatacza koło. Tej wiosny, Anno Domini 2024 Wojtek wybiera się nad Biebrzę, aby po sześćdziesięciu latach znów wypłynąć kanadyjką na wiosenne rozlewiska Biebrzy. Auto znowu wyladowane po dach, na dachu łódka, a jedynie dryling zostaje w domu, bo ekspedycja ma charakter pokojowy. Towarzyszy mu syn i czekają tylko na telegram (albo raczej telefon) odnośnie gęsi. Oczekuje ich na miejscu młody chłopak ze zdjęcia, Tadeusz Nieciecki – trochę się zmienił, ale ciąg do przygód traperskich pozostał ten sam.

Tu odnoszę wrażenie, iż moja relacja uderza w zbyt patetyczne tony, a że znam jej bohatera jako człowieka wesołego i dowcipnego, pozwolę sobie na nieco lżejsze zakończenie opowieści, licząc że mi to wybaczy. A zatem...

...gdzieś między nocą a świtem, spod samego nieboskłonu, dochodzi wciąż narastający krzyk lecących ptaków. Na dole, pod chmurami, po horyzont rozciągała się wszechobecna dolina Biebrzy, bujnie rozlanej po okolicznych polach i błoniach. Gdzieś tam z wody wystawały kępy łóz i trzcin. Przy jednej stoi łódka, a w niej siedzi samotna postać. W pewnej chwili spomiędzy chmur z głośnym gęganym wylania się tłum gęsi. Siedzący w łodzi drgnął i spojrzał w górę –

O! gęsi! – pomyślał Wojtek.

O! Wojtek – pomyślały gęsi.

I nie ma się co specjalnie dziwić. Gęsi należą do ptaków długowiecznych, a Wojciech Plewiński jest postacią ogólnie znaną, nie tylko zresztą na ścianie wschodniej.

Autor wraz z całą redakcją Myśliwca, składa nestorowi krakowskiego łowiectwa serdeczne życzenia dalszej nieustającej ochoty na życie i wiosenne przygody.



Hubert Zwinczak
artysta grafik,
myśliwy
redaktor graficzny Myśliwca



Fotografie pochodzą z wystawy „Myśliwska Wiosna” autorstwa Wacława Nowaka, Wojciecha Plewińskiego i Włodzimierza Puchalskiego, która miała miejsce w Muzeum na Zamku Niepołomickim

Adam Benedykt Bisping Czar białoruskiej kniei



Tym razem celem naszej myśliwskiej wyprawy jest Gorodok - Białoruś wschodnia, czyli tereny, które przed II Wojną Światową należały już do Związku Radzieckiego.

Jedziemy tam na podchód głuszców, tokowisko cietrzewi oraz ciągi słonek. Nasza, już sprawdzona grupa, to Witek, Łukasz, Izio, Piotr i ja oraz nasz przewodnik i wypróbowany organizator Andrzej.

Przed wyjazdem nasze komórki i komputery grzeją się do czerwoności, gdyż ustaleń jest dość sporo. Szczegóły, zawsze takie same, czy masz paszport (ważny co najmniej przez następne 6 miesięcy), ważną europejską kartę broni, odpowiednią ilość amunicji, zgodę na wywóz broni i amunicji z Unii Europejskiej itp.

Później spotkanie w Warszawie, gdzie czeka na nas samolot białoruskich linii lotniczych Belavia. Na lotnisku, jak zwykle, kontrola dokumentów wywozowych broni i amunicji oraz szczegółowa inspekcja broni obejmująca sprawdzenie czy ich numery są tożsame z tymi zawartymi w stosownych zgodach, a później skrupulatne liczenie amunicji – co nie często się zdarza na granicy polskiej, ale tym razem nas nie ominęło. Już bez broni i bagaży, po przejściu umownej granicy powoli, bez pośpiechu „spokojna” kawa przed odlotem w lotniskowej kawiarni. Niektórzy zaglądają do sklepów bezcłowych, abymieć coś na „dezynfekcję” po przylocie.

Odprawa na lotnisku w Mińsku zawsze taka sama. Po przejściu kontroli paszportowej czeka na nas organizator białoruski Sasza. Wypełnia wszystkie papiery, jeszcze raz liczy amunicję, później kontrola szczegółowa broni i powtórne wczytywanie się w jej numery – czy na pewno są takie same? W mojej dubeltówce na szczęście na każdej jej części numery się powtarzają. Izio ma problem, bo numer jego broni zaczyna się na kolbie, dalsza jego część jest na czółenku, a końcówka na lufach. W związku z tym każda część broni nosi inny numer. Już po wszystkich wyjaśnieniach wsiadamy na lotnisku do busa i jedziemy kilka dobrych godzin do bazy do Gorodoku. W busie panuje miła atmosfera, kosztujemy wyśmienitych białoruskich wędlin, popijamy białoruską wodę brzozową, która okazuje się być wyśmienita na zmęczenie, do tego jeszcze sało i podróż szybko mija.

Baza w Gorodoku nie najgorsza, gospodarz miły oraz

całkiem niezłe jedzenie. Jednak to nie jest istotne; jutro o 4 rano wyruszamy na łów.

Moja poranna podróż uazem z miłym podprowadzającym, będącym prawie w moim wieku, trwa około jednej godziny. Na miejsce przybывamy, gdy jest jeszcze zupełnie ciemno i zaczynamy swoją wędrówkę przy kiepskiej lampce mojego przewodnika. Jestem zły, że nie wziąłem swojej, ale po jakimś czasie jestem z tego zadowolony. Mam przecież ze sobą aparat fotograficzny, telefon, amunicję i jestem dość ciepło ubrany. Po przejściu około 3-4 kilometrów dochodzimy do rozlewiska, o którym mój przewodnik mówi, że to rzeczka, przez którą musimy się przeprawić, a naszą prowizoryczną drożyną ma być pień złamanego drzewa. Aby ułatwić mi przeprawę podprowadzający odbiera mi broń oraz torbę, wręcza kijki o długości dwóch i pół metra i informuje, abym podążał za nim krok w krok. Tak rozpoczynamy 4 lub 5 kilometr podróży od zaparkowanego samochodu.





Po przejściu 50 metrów, jestem całkowicie mokry od potu i pełen obaw, by nie wpaść do wody i sobie czegoś nie zrobić.

Dalej nasza droga jest już mniej wymagająca, wiedzie przez las iglasto-liściasty. W trakcie „spaceru” mój przewodnik cały czas nasłuchuje i pokazuje mi jeden kierunek. Po dwóch godzinach marszu jesteśmy na miejscu, lecz głuszców już nie ma. Widzimy tylko miejsca ich piaskowych kąpiel – paprzyska. Po tak wyczerpującym marszu pomyślałem sobie, że ja odpocznę i poczekam na mego przewodnika, a on pójdzie po samochód i spokojnie wrócimy do bazy. Niestety spotyka mnie przykra niespodzianka, bo dowiaduję się, że nie ma innej drogi niż ta, którą przyszliśmy. Powrót był dla mnie bardzo ciężki. Już myślałem, że tam zostanę i nie wrócę. Po powrocie do samochodu sprawdziłem, że przeszliśmy 12 kilometrów. Tymczasem mój przewodnik zapowiedział, że jutro będzie tak samo z tą różnicą, że musimy wyjechać o dwie godziny wcześniej. Mnie się wydawało, że już chyba

wolę zostać w bazie i nic więcej nie widzieć. Wracamy, a tu się okazuje, że Piotr i Łukasz już strzelili po głuszcach. Piotr, mający słuch absolutny, odtwarza całą pieśń głuszca ze wszystkimi jego zwrotkami. Adrenalina uderza już mocniej i serce wali coraz bardziej. Idę więc bardzo szybko spać i rano jestem gotowy. Okazuje się, że mój przewodnik ma już upatrzone inne głuszce i wie, że w nocy zapadły w drugim jego rewirze. Po przyjeździe na miejsce zaczynamy podchód. Po dwóch godzinach mój przewodnik już słyszy pieśń głuszca, a ja niestety jeszcze nie. Bierze mnie za rękę i co jakiś czas podskakujemy do przodu. Gdy on staje, to ja też. W pewnym momencie słyszę coś pięknego i łapię jego rytm biegu i stoję po kolejnych zwrotkach.

Już jesteśmy pod drzewem, na którym on tokuje. Widzę jego sylwetkę i czekamy na szlifowanie, aby oddać strzał. Gdy tylko się rozpoczyna, mój przewodnik mówi „teraz”. Huk przerywa coś najpiękniejszego, co widziałem i na szczęście słyszałem. Olbrzymi





ptak spada pomiędzy gałęziami, a ja jestem oszołomiony. Myślę o swoim ojcu, o stryjaszku, oni też tak podskakiwali głuszcze i wiele później o tym opowiadali.

Wracając do bazy widzieliśmy tokujące cietrzewie. Niestety ich podejście było niemożliwe, a czekanie na nie w bardzo niskich budkach, na leżać, dla mnie nie stanowiło żadnej atrakcji.

Po nieudanych oczekiwaniach na cietrzewie pojechaliśmy na ciągi słonek. Co za raj, ile ich słyszałem! Wracają wspomnienia, kiedy to mój ojciec chrzestny w kwietniu organizował dla mnie w Bieszczadach polowania na nie.

Nagle słyszę chrapanie słonki ciągnącej nad moją głowę. Szybki ruch lufą i ten, bardzo dla mnie królewski ptak, spada nieopodal.

Opowieści z wyprawy było mnóstwo i wiem jedno - bardzo chciałbym jeszcze raz tam pojechać, choćby po to, by jeszcze raz zobaczyć tę knieję i te tokujące ptaki.



Adam Benedykt Bisping
inż. zootechnik Członek PZŁ od 1979 roku
od samego początku związany z Kł. Darz Bór
w Krakowie. Łowczy w Kł. Darz Bór, członek
Kół: Sosnówka w Kalinie Wielkiej i Czajka
w Krakowie. Delegat na Krakowski Zjazd
Okręgowy, Członek Komisji Oceny
Prawidłowości Odstrzału



Targi Hunt Expo Kraków



W dniach 19-21 kwietnia w Centrum targowo-wystawienniczym przy ul. Galicyjskiej w Krakowie już po raz trzeci odbyły się targi Hunt Expo. Ta trzydniowa impreza nabiera rozpędu. O ile w 2022 i 2023 roku targi zajmowały tylko jedną halę i to wcale nie wypełnioną po brzegi, to w tym roku liczba firm zainteresowanych udziałem w targach na tyle wzrosła, że konieczne było udostępnienie drugiej hali, a i odwiedzających targi już od pierwszego dnia było bardzo dużo.

Uroczystego otwarcia targów dokonali: Dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krakowie Piotr Kempf, Prezes Naczelnej Rady Łowieckiej Marcin Możdżonek oraz Łowczy Krajowy Eugeniusz Grzeszczak.

Program targów był bardzo bogaty i obfitywał w różnego rodzaju atrakcje.

Dużym zainteresowaniem cieszyły się debaty z udziałem przedstawicieli instytucji związanych z przyrodą („Zarządzanie zasobami przyrody w mieście”, „Świat się zmienia – przyszłość

łowiectwa”, „Damy lasu – historie, pasje, wyzwania”) czy prelekcje np. „O potrzebach badań ptaków łownych w Polsce”.

Był też pokaz wabienia zwierzyny, pokazy mody, pokaz łuczników. Na specjalnie zorganizowanych stoiskach możliwe było sprawdzenie swoich sił w strzelaniu z łuku czy skorzystanie z wyposażonej w najnowocześniejsze tarcze strzelniczy pneumatycznej.

Targi nie mogłyby się odbyć bez muzyki myśliwskiej. Piękne koncerty w wykonaniu znanego krakowskiego Zespołu Sygnalistów Hagard zachwyciły wielu odwiedzających targi.

Po raz kolejny przeprowadzony został Ogólnopolski Konkurs Wiedzy Łowieckiej „Magnus Venator”. Były też inne konkursy, m.in. konkurs wiedzy „Kolboliada”.

Ponadto można było wziąć udział w różnego rodzaju warsztatach (np. „Leśne rośliny w kuchni, apteczka i SPA, „Plecak wycieczkowy dziecka”).

W dniach 20-21 kwietnia na terenie zewnętrznych EXPO Kraków po raz pierwszy

w tym miejscu zorganizowany został dziki bieg z przeszkodami HUNT RUN Kraków. Dzięki współpracy z organizatorem znanego z Kotelnicy Białczańskiej biegu z przeszkodami Hunt Run na powierzchni 8000 m² powstała trasa biegowa o długości 1 km, z 10 profesjonalnie przygotowanymi przeszkodami. Była więc okazja zmierzenia się z przeszkodami przed planowanym na sierpień pełnowymiarowym biegiem.

Mówi się, że polowanie bez psa, to jak potrawa bez soli, czy jak wesele bez orkiestry. Tak więc na targach obowiązkowo musiał się też pojawić akcent kynologiczny. W pierwszym i trzecim dniu targów odbyły się, zorganizowane przez Komisję Kynologiczną przy PZŁ i Związek Kynologiczny w Polsce (Oddział Kraków), pokazy psów ras myśliwskich. Podczas pokazów można było zapoznać się z historią powstawania poszczególnych ras, dowiedzieć się o ich predyspozycjach, potrzebach pracy (a nie wyłącznie o wylegiwaniu się na kanapie, a taki los spotyka niestety coraz więcej psów), o szkoleniu. Natomiast w drugim dniu odbyła się Krajowa wystawa psów ras myśliwskich zorganizowana przez ZKwP O/Kraków.

Podobnie jak w ubiegłych latach nie zabrakło też sokolników ze swoimi towarzyszami łowów.

Dziesiątki firm na swoich stoiskach prezentowały różne akcesoria dla myśliwych: od ubiorów poprzez broń, lornetki, sprzęt nokto i termowizyjny, przenośne windy po wyroby z dzierzyny. Można było zasięgnąć informacji o danym sprzęcie, wymienić się doświadczeniem z innymi, poopowiadać o przygodach z łowiska.

Tradycyjnie w centrum głównej hali znalazło swoje miejsce duże stoisko Polskiego Związku Łowieckiego ze stołami zastawionym wyrobami z dzierzyny, gdzie można było przysiąść, porozmawiać ze znajomymi, napić się dobrej kawy.

W niedzielę po południu dokonano zamknięcia targów. Pożegnaliśmy się i umówiliśmy na spotkanie na targach za rok.



Ewa Dobrzyńska-Lankosz
sekretarz Komisji Kynologicznej przy ZO PZŁ w Krakowie,
sekretarz w KŁ Hubert
w Proszowicach, autorka
kilkunastu artykułów z zakresu
kynologii łowieckiej



Dzientelmen z Szarpańców



Gospodarz Kniei Poturzyckiej - Włodzimierz hr. Dzieduszycki ze swymi gośćmi podczas przerwy w polowaniu jesienią 1894 r.; siedzą od lewej: Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Juliusz hr. Tarnowski, Stanisław hr. Gołuchowski, Andrzej ks. Lubomirski, Józef Cieński, (za J.C. częściowo widoczny Tadeusz hr. Dzieduszycki) i Wincenty Kruszewski. Stoją od lewej: Wacław Fabiański, Aleksander Hulimka, Karol Biliński Zdzisław Skrzyński, Tadeusz Kownacki i Stefan hr. Szembek. Zdjęcie wykonał Michał Sozański, uczestnik polowania.

Działo się to w burzliwych latach osiemdziesiątych ub. w. (czasy „Solidarności”, stan wojenny, upadek systemu). Te zawirowania odbiły się również na działalności Polskiego Związku Łowieckiego. Rozgoryczenie panowało wśród myśliwych, co w niewielkim stopniu miało wpływ na brak chętnych do pracy społecznej w organach wojewódzkich PZŁ. Dopiero rzeczowe wystąpienie na forum wojewódzkiego zjazdu delegatów PZŁ w roku 1981 Karola Bilińskiego stało się sygnałem do przeanalizowania dotychczasowych stosunków i zmian personalnych. Został on wówczas wybrany na stanowisko wiceprezesa Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Krakowie, a na kolejnym zjeździe w 1986 roku został jej prezesem i konsekwentnie realizował program przemian. Jego pełne zaangażowanie w pracę na rzecz krakowskich myśliwych zostało docenione. W 1989 roku otrzymał najwyższe odznaczenie łowieckie „ZŁOM”, w 1985 „Medal za Zasługi dla Łowiectwa Krakowskiego” oraz „Medal Św. Huberta” w roku 1998.

Karol Biliński, zasłużony działacz łowiecki, wielki patriota związany przez wiele lat z Krakowem, urodził się 1 grudnia 1926 roku w Szarpańcach w powiecie Sokalskim na pograniczu Galicji Wschodniej i Wołynia, w rodzinie o dużych tradycjach patriotycznych i łowieckich. Tam też spędził swe chłopięce lata. Jego rodzicami byli Stanisław Sas Biliński (1883-1967) i Wanda z d. Weyda (1899-1980). Początkowe nauki pobierał w domu, a następnie do szkoły powszechnej uczęszczał we Lwowie. Do domu przyjeżdżał tylko na wakacje i święta. 1939 roku naukę w gimnazjum przerwała wojna. Pasję myśliwską odziedziczył po swoich przodkach. Myśliwymi byli pradziadkowie, dziadkowie i oczywiście ojciec. Polowali również jego kuzyni i dwaj stryjeczacy. Jego pradziadek ze strony matki - Władysław Weyda i jego syn, też Władysław, nade wszystko przedkładali polowanie z psami na „pióro”. Zawsze mieli bardzo dobrze ułożone psy, wyłącznie wyżyły niemieckie. Dziadek Władysław Weyda był zapalonym myśliwym, dla którego polowanie stanowiło istotną treść życia. Z zawodu był zdolnym i wziętym adwokatem. Znajac całą niemal arystokrację i ziemiaństwo powiatu sokalskiego, prowadził ich nieraz bardzo poważne sprawy. Stać go było na częste przyjęcia, służbę, drogą broń i psy. To po nim, jak mówiła pani Wanda, matka Karola, odziedziczył pasję do polowania na „pióro” i zamiłowanie do wyzłów. Zupełnie innym typem myśliwego był jego dziadek ze strony ojca, Karol Biliński (1845- ok.1920). To po nim nasz bohater otrzymał jego imię. Dziadek, wg opowieści naszego Karola, był zawsze zapracowany i na polowanie miał niewiele czasu. Polował przeważnie zimą, kiedy gospodarstwo mniej go absorbowało. Poza kilkoma co roku organizowanymi polowaniami we własnym lesie, bywał często zapraszany na wielkie polowania w lasach ordynacji hrabiego Włodzimierza Dzieduszyckiego i hrabiów Czackich w Porycku.

W roku 1908, być może za namową hr. Dzieduszyckiego, został przyjęty w poczet członków Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego. Karol Biliński – dziadek, mając zaledwie 16 lat, brał udział w powstaniu styczniowym. Walczył w jednym z oddziałów Langiewicza. W bitwie, stoczonej z wojskiem carskim pod Tuczapami, został ciężko ranny w głowę przez Kozaka i stracił przytomność. Po bitwie, w nocy, chłopcy zabrali go z pobojowiska i uratowali. Karol – wnuk urodził się po śmierci dziadka. Znał go więc tylko z opowiadań ojca.

Największymi pamiątkami jakie zostały mu po dziadku, były: niewielki obraz z dedykacją p. Rychter-Janowskiej, fotografia dziadka w kontuszu oraz piękna spinka do stroju polskiego z orłem na krawatniku. Jednak decydującą rolę w myśliwskiej edukacji Karola odegrał jego ojciec Stanisław Sas Biliński. Był on myśliwym wielkiego formatu, znanym w całej ówczesnej Małopolsce

Wschodniej, również jako działacz Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z siedzibą we Lwowie, do którego wstąpił w 1922 roku. Stanisław – ojciec naszego bohatera – był najmłodszym synem Karola i Karoliny Bilińskich. Ukończył on szkołę rolniczą w Czernichowie i całe swoje życie poświęcił swojej rodzinie i pracy na wsi. Po II wojnie światowej pracował w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich, które zagospodarowywały przede wszystkim na tzw. ziemiach odzyskanych – de facto uzyskanych – majątki ziemskie. Ta zasłużona instytucja została zlikwidowana przez Władysława Gomułkę, ówczesnego Ministra Ziem Odzyskanych, jako siedzisko byłych ziemian, szkodliwa z ideologicznego i politycznego punktu widzenia ówczesnych władz. Jak wspominał sam Karol jego ojciec był myśliwym bardzo wszechstronnym. Poza dzikami i kszycami polował również na inną zwierzynę. Chętnie polował na zające, zwłaszcza jeżeli miał możliwość strzelania kulą.



Dziadek Karol Sas Biliński



Na zdjęciu z roku 1936 jeden z medalowych odyńców ojca. Na saniami 10-letni Karol, ojciec Stanisław i jego matka Wanda



Ojciec Karola, Stanisław

Dla przypomnienia dzisiejszym nemrodom, zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami (lata 20. ub. w.) strzał kulą do zająca był dozwolony. Mało tego, uważano go za bardziej etyczny od strzału śrutem i wyżej go ceniono. Należało wówczas spełnić tylko dwa warunki: strzelać wy-

łącznie do tyłu (poza miot) i za zgodą prowadzącego polowanie. W przypadku zgody prowadzącego Stanisław Sas Biliński do zająca strzelał kulą i wówczas zostawał z reguły królem polowania. Ojciec Karola na polowaniu używał zawsze tylko jednej strzelby, podczas gdy przy ówczesnym stanie zający większość myśliwych strzelała z dwóch. Pamiętam, czego byłem świadkiem, że jeszcze w latach siedemdziesiątych ub. w. wielu myśliwych podczas polowań zbiorowych na zające, gdzie dopuszczano strzelanie do dzików czy drapieżników, używało dwóch jednostek broni: śrutowej (boka lub dubeltówki) oraz sztucera. Po wojnie ojciec Karola (Stanisław) już nie polował. Karol poza różnymi pamiątkami po ojcu najbardziej cenił sobie jego mały, oprawiony w skórę notes, w którym ojciec z wielką skrupulatnością, rok po roku zapisywał daty i miejscowości, w których polował, oraz rodzaj i liczbę pozyskanej zwierzyny. Poza suchymi danymi znajdowały się tam różne dopiski, jak np. „zając i słonka w dublecie”.

Karol Biliński, bohater tego artykułu, od dziecka, jak sam to opisuje, przepadał za myśliwskimi opowieściami. Kiedy do domu w Szarpańcach zjeżdżali się myśliwi po polowaniu, Karol zakradał się pod stół i z wypiekami na twarzy na-

śluchiwał opowieści jakie snuli jego uczestnicy opowiadający o swoich przeżyciach z nim związanymi. Najbarwniej, jak zapamiętał młody Karol, opowiadał pan Ludwik Ilnicki. Słuchając go, Karol widział, jak na jawie, jesienny las w czerwonych i złotych kolorach, iskrzący się szronem w zimowym słońcu, czy też ponury i groźny w śnieżnej zawiei, a przed jego oczami jawiły się przebiegające dzicze watahy, rudle saren czy sznurujący lis. Jak większość chłopców w tamtych czasach zaczął przygodę z bronią od wiatrówki. Po nadzorem ojca opanował dość szybko nie tylko samo strzelanie, ale i twardą szkołę bezpiecznego obchodzenia się z bronią i dbałością o nią. Za każdą najmniejszą plamkę rdzy pozostawanej po czyszczeniu broni, spotykała go kara w postaci pozbawienia go wiatrówki na jakiś czas. Również podczas polowań ojciec wpoił mu pewne prawidłowe zachowania na stanowisku, które towarzyszyły mu przez całe dorosłe życie.

W wieku 10 lat otrzymał od ojca jednostrzałową broń flower FN, którą wykorzystywał nie tylko do strzelania do tarczy, lecz również do wron i gawronów. Do jego obowiązków związanych z bronią należało czyszczenie nie tylko swojej broni myśliwskiej tzn. wiatrówki i flowera, ale i także jednostek ojca, z wyłączeniem ekspresu i Schölbega, które ojciec czyścił własnoręcznie. Jak sam wspominał: *Ojciec z początku mnie sprawdzał czy dobrze wyczyściłem broń, byłem dumny, gdy tego zaniechał*. Takie otrzymał przygotowanie przed wejściem w okres prawdziwych polowań. W 1937 roku, gdy miał trzynaście lat, otrzymał od ojca pierwszą dubeltówkę. Była to horyzontalna szesnastka znanej przed wojną belgijskiej firmy Forgeron. Tak się cieszył tą swoją szesnastką, że nawet na noc kładł ją przy łóżku.

Bardzo przeżywał swoje pierwsze polowanie zbiorowe na zające, lisy i słonki. Początek był dla niego fatalny. Przepuścił parę zających bez strzału. A to wydawało mu się, że naganka jest za blisko, albo zając za daleko. Spodziewając się reprimendy, otrzymał od ojca pochwałę: *„Wolę żebyś był ostrożny – jeszcze niejednego w życiu zająca strzelisz”*. W drodze powrotnej ojciec udzielił mu jeszcze kilku rad: *„Nie strzelaj do dalekich zających, musisz być na sto procent pewny, że zając jest bliżej ciebie niż twojego sąsiada, w razie wątpliwości nie strzelaj”*.

W 1938 roku ojciec uznał, że Karol dorósł to tego, aby strzelić pierwszego kozła. Wręczył mu swojego Verlinga i zlecił gajowemu Ankiewiczowi, aby był jego podprowadzającym. Pierwszy podchód nie przyniósł sukcesu, dopiero następnego dnia, siedząc na zwyczajnie zbudowanej na rozłożystym grabie położonym na skraju lasu



dostrzegł kozła, który stał na skraju lasu i obserwował „przedpole”. Kozioł stał dość długo bez ruchu, po czym pomału ruszył do przodu opędzając się od gryzących go bąków. Gdy stanął na sztych, Karol strzelił mierząc – jak radził mu oj-

ciec – w kark. Kozioł okazał się ciekim, dość cherlawym, szpicakiem.

Strzał do tegoż kozła pozostawił mu pevien niesmak. Według niego, jak sam to zdanie opisał, przyjemność polowania powinna



Mały Karol i mały dzik. Zdjęcie z lat 30 ub. w.





Profesor Szczepan Biliński na tle portretu pradziadka Karola Sas Bilińskiego - obraz namalowała Bronisława Rychter-Janowska, Stary Sącz 1914 rok

być ściśle związaną z wysiłkiem włożonym w pozyskanie zwierzyny oraz dawać emocje zaskoczenia. W tym przypadku tych elementów zabrakło. Z tego powodu Karol Biliński nigdy już więcej nie wybrał się „na koziołka”, mimo że miał do tego wiele

okazji. Do roku 1939, wybuchu II wojny światowej, uczestniczył jeszcze w paru polowaniach zbiorowych organizowany przez Bełzkie Towarzystwo Myśliwskie, do którego należał ojciec. Ostatnie jego wspomnienia, zamykające okres przedwojenny, które głęboko zapadły mu w pamięci, były związane z rozstaniem się z bronią myśliwską. Jednej nocy Karol wraz z ojcem zakonserwowali broń i w „koszulkach” włożyli ją do wcześniej przygotowanych metalowych pudeł. W pudełach znalazła się broń łamana, a więc ekspres ojca, jego dwie dubeltówki i szesnastka



Na zajęciach w „Rysiu” lata 90 ub. w.

Karola. Pudełka te następnie włożyli do drewnianej skrzyni, którą obili papą i zasmałowali. Skrzynię zakopali pod fundamentem jednego z narożników domu. Dla „zmylenia przeciwnika” w szafce z bronią zostawili - Schönauera i dwa małokalibrowe FN-y oraz strzelby gajowych. Karol często wracał myślami do tej skrzyni: czy nadal znajduje się pod węglem domu, czy też została odkryta, lecz nigdy tego nie sprawdził.

W czasie wojny 16 letni Karol wstąpił do Armii Krajowej, służąc w samodzielnym szwadronie zwiadu konnego Tomaszowskiego Obwodu. Pod koniec okupacji brał udział w ciężkich walkach z UPA w obronie polskiej ludności na terenie powiatu hrubieszowskiego i tomaszowskiego. Po rozwiązaniu oddziału na skutek wkroczenia na te tereny Armii Czerwonej, znalazł się przejściowo w Mszanie Dolnej, a następnie w Krakowie. Stosunkowo łatwo mu poszło z weryfikacją konspiracyjnej matury, a po jej uzyskaniu rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wybór tego kierunku nie pokrywał się z jego zainteresowaniami, myślał raczej o leśnictwie lub rolnictwie. Lecz w tym czasie tych kierunków jeszcze nie otwarto (*dopiero w 1949 roku powstał wydział leśny na UJ*). Karol zdecydował się na rozpoczęcie i ukończenie jak najszybciej studiów prawniczych, czyli w ciągu dwóch i pół roku (takie możliwości stwarzał wówczas wydział prawa) i podjęcie pracy. Tempo było szalone, cały przedwojenny program należało przerobić bez żadnych przerw wakacyjnych czy międzysemestralnych. Po ukończeniu studiów udało mu się dostać na aplikanturę sądową. Jednak wkrótce został z niej usunięty jako element niepożądany z uwagi na pochodzenie i akowską przeszłość. Również o posiadaniu broni myśliwskiej w tym okresie mógł tylko pomarzyć.

W roku 1948 poślubił Danutę (1922-2009) - córkę Kazimierza i Celiny Godlewskich. Małżonkowie zamieszkali u rodziców Karola w Krakowie. Z tego związku urodził się syn Szczepan, a następnie córka Teresa, obecnie żona Marka Estreichera, która od lat osiemdziesiątych ub. w. mieszka w Wiedniu. Syn Szczepan ukończył studia biologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, a w 1990 roku uzyskał tytuł profesora. Obecnie jest sekretarzem generalnym Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Jego żona Barbara jest z wykształcenia biologiem i pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po śmierci Stalina w 1953 r. Biliński został zatrudniony na stanowisku szefa działu organizacyjno-prawnego Politechniki Krakowskiej. Jego prawą ręką w dziale była wspaniała kobieta, pani Helena Ci-



Karol z Agą na gęsiach w „Ponowie” i Wojtek Łucki – zdjęcie z drugiej połowy lat 70 ub. w.

chowa, której mąż był myśliwym. Gdy pani Helena zorientowała się w myśliwskiej przeszłości Karola zapytała, czy nie chciałby wrócić do polowania. To dzięki niej udało mu się otrzymać pozwolenie na broń i dostać się do koła łowieckiego „BÓR” w Krakowie.

W latach sześćdziesiątych ub. w. Karol pra-

cował w budownictwie, gdzie przez dłuższy czas projektował i nadzorował realizację inwestycji. Zdobywszy odpowiednie doświadczenie został zatrudniony na stanowisku dyrektora ekonomicznego Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie. Następnie podjął się realizacji remontów kapitalnych dwóch podmiejskich pała-



Zdjęcie z przerwy w polowaniu na kaczki w Zatorze 1981 rok. Od prawej: Jan Bober ówczesny kierownik - łowczy OHZ Zator, Karol Biliński, Lech Pakuła - wówczas Przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego PZŁ w Krakowie, N/N
Foto: z zasobów archiwalnych autora



Od lewej siedzą za stołem prezydyjnym: Andrzej Szymański (senior) - ówczesny Łowczy Wojewódzki w Krakowie, Tadeusz Sanicki - członek WRŁ Kraków, zasłużony krakowski kynolog myśliwski, Karol Biliński - prezes Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Krakowie; stoi Stefan Witek - wieloletni prezes KŁ „Kormoran”, wiceprezes WRŁ Kraków i Stefan Basa wieloletni prezes KŁ „Kormoran” w Krakowie. Foto: z roku 1986 z zasobów archiwalnych autora

cyków w Bronowicach, użytkowanych przez Instytut Farmakologii Polskiej Akademii Nauk. Podczas tych prac narzekał na ciągle wtrącanie się konserwatora zabytków. Za swoją, pełną zaangażowania, działalność otrzymał „Srebrną odznakę za pracę dla Krakowa”. Pomimo bardzo dobrych stosunków w Instytucie Farmakologii Karol Biliński musiał, ze względów zdrowotnych, przejść na rentę inwalidzką. Zanim to nastąpiło został uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W pierwszym swoim kole „Bór” był członkiem Zarządu. Koło to wówczas dzierżawiło cztery obwoły łowieckie, a ten podkrakowski obejmował las Zabierzów oraz pola byłych majątków radziwiłłowskich (Balice, Aleksandrowice, Mydlniki, Rząską i Olszanicę). Dziaków było wówczas niewiele i to przechodnie, trochę lisa i saren, natomiast na po-



lach zajęte i kuropatwy rodziły się „na kamieniu”. Kolejny - to obwód Gdów - Łapanów - Książnice. Następny, to obwód położony w powiecie Dąbrowa Tarnowska, który myśliwi z Boru nazywali „Skrzynką” od nazwy centralnie położonej tam wsi. Ostatnim był obwód w Bieszczadach. W latach siedemdziesiątych ub. w. kolejnym jego kołem macierzystym stała się krakowska „Ponowa”. W tym kole również zaangażował się w pracę społeczną w zarządzie koła, gdzie w latach 1974-1977 pełnił funkcję wiceprezesa. Koło to dzierżawiło wówczas trzy obwoły, podkrakowski zwany „Skawiną, drugi to „Radziszów”, a trzeci - „Borusowa” - położony w powiecie Dąbrowa Tarnowska. W roku 1985 przeszedł jako członek macierzysty do koła łowieckiego „RYS” Kraków. Koło to, o dużych tradycjach i dobrej opinii, dzierżawiło w tym czasie i nadal dzierżawi dwa bardzo dobre ob-

Z Boną na kogutach w „Ponowie”

wody: Książ Wielki w woj. świętokrzyskim i podkrakowski obwód „Pobiednik”. W kole tym przez okres pięciu lat pełnił funkcję sekretarza. W latach 70. ub. w. przeszedł, w odstępie kilku lat, amputację obu nóg. Nie przeszkodziło mu to w kontynuowaniu pasji łowieckiej. Polując w okolicach Krakowa, zawsze na pierwszym miejscu stawiał łowy na zwierzynę drobną. Lubił jesienne polowania na kuropatwy i ptactwo wodne.

Karol Biliński był zafascynowany psami, zwłaszcza wyżłami, których miał w swoim życiu wiele.

Preferował suki, wśród których były: Mewa, Diana oraz Perła. O tej ostatniej napisał wspaniały artykuł opublikowany w „Łowcu Polskim” nr 7/8 z sierpnia 1985 r., w którym ze wzruszeniem opisuje historię tej wiernej towarzyszk polowań. Namawiam do przeczytania tego artykułu. Następną była Bona, później Raba, jedyna w jego życiu pointerka Aga, i wreszcie - Azja.

W sierpniu bieżącego roku minie 15 lat, kiedy odszedł od nas człowiek o wielkiej charyzmie i szczególnej osobowości. Zapamiętałem go jako człowieka honoru, o nienagannych manierach i kurtuazyjnym zachowaniu - prawdziwego dżentelmena. Z rozrzwinięciem wspominam wizyty w jego mieszkaniu, wspaniałe zaparzoną herbatę, podawaną w pięknych filiżankach, pajdy chleba i smalczyk ze skwarkami, z kminkiem

czy cebulką, którymi częstował gości. Napisał dwie wspaniałe książki o sobie i rodzinie... o swoim życiu i pasji myśliwskiej, na kanwie których powstał ten artykuł. Był nieprzeciętnym działaczem łowieckim o niełatwym charakterze - był uparty, ale wszystko co robił, wszelkie jego zabiegi miały na celu tylko jedno - dobro Związku i polskiego łowiectwa. Mało już zostało żyjących kolegów myśliwych, którzy mieli przyjemność poznać bezpośrednio bohatera tego artykułu. Czas robi swoje. Karol Biliński zmarł 20 sierpnia 2009 roku. Został pochowany na cmentarzu Kobierzyn-Lubostroń (kw. II rząd 6 miejsce 10)



Waldemar Smolski

inż. leśnik, dokumentalista łowiecki, znawca historii zorganizowanego łowiectwa na ziemiach polskich, autor książek, redaktor wielu artykułów z dziedziny łowieckiej. Wykładowca akademicki, lektor i wykładowca PZŁ z dziedziny kultura łowiecka.



Spis treści:

Dwadzieścia „zielonych” srebrników Marek Wajdzik	3
Wiślańskie głuszce Zenon Rzonca	4
Dwa łabędzie, a właściwie trzy Ryszard Adamus	12
Nie dla psa kielbasa Tadeusz Sadowski	18
Jakie zwierzęta pobierają szczepionki przeciwko wściekliznie? Karolina Sondej, Marek Wajdzik	22
Intelektualia Myśliwskie Kraków 2024 Hubert Zwinczak	26
Klasyka „małego pola” – z wyżłem na przepiórki Zbigniew Ciemniewski	32
Wiosna Ryszard Adamus	40
Dawno temu, w dolinie Biebrzy Hubert Zwinczak	44
Czar białoruskiej kniei Adam Benedykt Bisping	54
Targi Expo Hunt Kraków Ewa Dobrzyńska-Lankosz	60
Dżentelmen z Szarpańców Waldemar Smolski	62

Zdjęcia na okładce:
Włodzimerz Puchalski str. 1
Hubert Zwinczak str. 2
arch. Zenona Rzońcy str. 4



WYDAWCA

Zarząd Okręgowy
Polskiego Związku Łowieckiego
w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY

Marek Wajdzik

REDAKCJA

Ewa Dobrzyńska-Lankosz
Roman Barbasz
Adam Benedykt Bisping
Bogdan Kowalcze
Henryk Okarma
Wojciech Plewiński
Andrzej Patoła
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stale współpracują:
Ryszard Adamus
Rafał Łapiński
Patrik Sikora

SKŁAD I ŁAMANIE

Hubert Zwinczak

DRUK

Drukarnia Standruk

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadesłanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

czytaj za darmo:

www.wroclaw.pzlow.pl/magazyn-pasje



